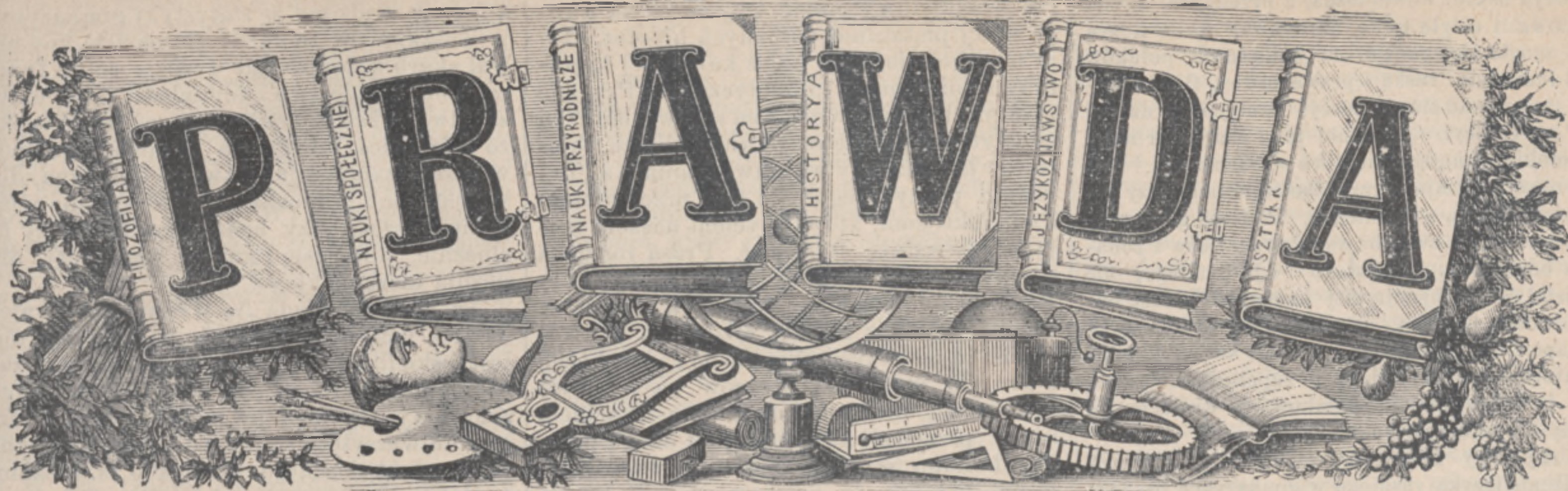
№ 42. Warszawa, dnia 15 (3) Października 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY EDYKT.

Sędziwy, nad grobem stojący a przeto o czystość swego sumienia chrześciańskiego dbały, cesarz Wilhelm uznał za stosowne rozkazem królewskim znieść naukę języka polskiego we wszystkich ludowych szkołach poznańskich. Pamiętamy dobrze wyrażenie Windhorsta o bezsilności aniołów wobec rządu pruskiego, nie myślimy przeto oceniać moralno-politycznej strony tego nowego „uderzenia" i kusić się o przeciwdziałanie temu, czemu aniołowie poradzić by nie zdołali. Pragniemy tylko przenieść tu główne racye, któremi prasa niemiecka usprawiedliwia postępowanie swego rządu. Jest to ciekawa wystawa bezczelności, wymownie charakteryzująca nasze czasy i prądy, które w nich rej wodzą.

Köln. Ztng, największa gazeta niemiecka, *liberalna*, używana dziś najczęściej do podszywania niecnoty „rozumem stanu," tak dowodzi. Obywatele dawnego państwa polskiego już wszyscy wymarli; żyją tylko prusacy, których dzieci, obok swej przynależytości politycznej, przez ojców a często nawet przez dziadów są również prusakami. Ponieważ językiem prusaków jest niemiecki, zatem szkoła winna uczyć tylko po niemiecku, tem bardziej, że ona w dwu językach nigdy dobrze wychowańców kształcić nie może i że dziś zginęła zupełnie praktyczna potrzeba znajomości polszczyzny. Mianowicie (jeden z wyższych szczytów cynizmu) skutkiem nowych rozporządzeń celnych na granicy rosyjskiej stosunki z guberniami polskiemi Królestwa zmniejszają się coraz bardziej.

Do innej, jeszcze wznioślejszej sfery sięgnęła po argumenty także liberalna *Berl. Börs. Ztng.* Prawem natury jest walka o byt, w której silniejszy, *to jest doskonalszy* zwycięża słabszego. Psychologia ludów uczy, że niektóre narody mogą się wznieść tylko do pewnego stopnia rozwoju i że potrzeba świeżych sił żywotnych, ażeby osiągnęły wyższy. Dowodem właśnie polacy. Mimo słowianofilstwa gabinetu Taaffego życie Galicyi ma podstawę germańską. Że powoli najzawziętsi polacy muszą zamienić się na niemców, o tem wie każdy, „kto rozumie choć trochę wypadki historyczne." W końcu *B. B. Z.* ofiarowywa nawet drogą łaskę współczucia skazanym na śmierć. „Uszanujmy — powiada — w polakach dążność do bytu własnego, miejmy pobłażliwość dla tych, których historya uważać musi za straconych, ale nie zapominajmy przytem, że nieunikniona konieczność wspomnianego prawa żelaznego (co to za dziwna choroba zamieniania wszystkiego na żelazo!) nic nie wie o czułościach, gdyż sama służy najwyższemu celowi i dlatego działa święcie i wzniośle." Pyszny widok barbarzyńcy, ubranego w godła cywilizacyi i tłomaczącego wzniośle i święte cele rozwoju świata!

Za tymi solistami poszedł chór prasy niemieckiej. Odbiły się od niego jedynie głosy zasadniczo rządowi nieprzyjazne i katolickie.

„Jeżeli dzieci polskie nie będą się uczyły czytać i pisać po polsku — dowodzi *Schl. Volks Ztng* — nie będą też umiały po polsku myśleć. A właśnie chodzi o to, ażeby myślały po niemiecku — wołają germanizatorowie. Tak, ale mimo ośmioletniej nauki szkolnej, one i po niemiecku myśleć nie umieją. Słyszymy, że latorośl niemiecka przy dzisiejszym systemie germanizatorskim zaszczepia się na pniu polskim; rzeczywiście zaś sadzi on tę latorośl obok pnia w piasek. I pień nie zakwitnie i płonka się nie zakorzeni. Kształcone w ten sposób dziecko nie umie ani po polsku, ani po niemiecku. W języku polskim brak mu form dla myśli, w niemieckim brak myśli dla form." *Schl. V. Ztng* posuwa się do krańca w kierunku logiki rządu pruskiego i powiada: „Właściwie jedyny istnieje środek, aby wszystkim dzieciom rodziców narodowości polskiej dać skuteczne, czysto niemieckie wykształcenie— deportacya. Innej drogi nie ma: gdyż albo dziecko wzrasta w otoczeniu polskiem, a wtenczas tylko na podstawie mowy polskiej można je prawidłowo kształcić, albo też trzeba dla wprawy w języku niemieckim usunąć dzieci polskie od lat niemowlęcych z pod opieki rodzicielskiej i umieścić je w zupełnie niemieckiem otoczeniu!"

Wytłomaczywszy to jasno i zasadnie, gazeta szlązka wymierza w końcu swym rodakom zasłużony policzek. „I wobec tego wszystkiego — powiada — śmią jeszcze nasze prawomyślne dzienniki skarżyć się na umiarkowane stosunkowo postępowanie Rosyi z niemcami nadbałtyckimi!"

Wzmianka w dekrecie pruskim o celnej polityce Rosyi, usuwającej potrzebę znajomości języka polskiego, wciągnęła do tej sprawy dzienniki ruskie. Najobszerniej przemówił *Swiet*. Wywód jego przytoczymy w wypisie obszerniejszym.

„Jadowitość tej przemówki na szczęście znika, jeżeli oświetlimy sprawę z tego punktu, z którego przedstawia się ona ruskim, i chętnie podniesiemy rękawicę, rzuconą Rosyi przez gazetę niemiecką. Przedewszystkiem zaznaczymy, iż t. zw. kwestya polska nie stanowi nic innego, jak rezultat błędu, popełnionego przez nas za Cesarza Aleksandra I-go, kiedy zamiast przyłączyć do Rosyi Poznań i Galicyę, a tem samem zadosyć uczynić słusznym życzeniom polaków, i idei słowiańskiej, my popieraliśmy najnierozsądniejsze projekty polaków co do spolonizowania ludności gubernij zachodnich a jednocześnie uświęcaliśmy ostateczny rozdział Polski. *Köln. Ztng* myli się głęboko, sądząc, iż kwestya polska w Rosyi i kwestya zniemczenia polaków są w jakikolwiek sposób pokrewne sobie. W Rosyi kwestya polska była zawsze walką rządu z pragnieniami szlachty polskiej, dążącej do panowania nad „chłopami," należącymi równie do

narodowości polskiej, jak i ruskiej. Była to kwestya czysto wewnętrzna, a przedewszystkiem kastowa i o tyle tylko narodowa, o ile Rosya nie mogła się zgodzić na panowanie polaków nad ludnością ruską i prawosławną, tj. nie mogła tolerować stanu rzeczy, istniejącego dzisiaj np. w Galicyi. Zupełnie inny charakter mają stosunki, panujące nietylko w Niemczech, lecz i w naszym kraju Przywiślańskim pomiędzy ludnością polską a niemiecką. Podczas gdy ruscy tylko bronili swoich współwyznawców i rodaków od wpływu „pańskiego“ i jezuickiego, nie oddziaływając bynajmniej na samodzielność narodowości polskiej, a nawet (jak to było przy Potapowie), popierając ją przez swych administratorów— niemcy dążą do zupełnego zniszczenia i wykorzenienia polaków, a wreszcie do ruiny ich ekonomicznej!

Urzędowcy niemieccy zapominają, iż zaprowadzenie języka ruskiego w gimnazyach przywiślańskich i uniwersytecie różni się zupełnie od zaprowadzenia języka niemieckiego w szkole polskiej. Język ruski jest słowiańskim i chociaż nie sądzono mu usunąć innych słowiańskich (co zresztą nie jest pożądanem), lecz z czasem wszyscy słowianie (a w ich liczbie i polacy) uznają za bezwarunkowo dla siebie pożyteczne poznajomić się z językiem i literaturą ruską, na którą zwróciły już uwagę tak poważne narody zachodnie, jak anglicy i francuzi. Język niemiecki, jakiekolwiek byłyby jego zasługi dla nauki, zawsze pozostanie obcym i cudzoziemskim dla każdego słowianina, który nie zerwał nici, łączących go ze swoją narodowością. Wprowadzać przemocą mowę niemiecką do szkoły polskiej, znaczy dążyć do zupełnego zgniecenia narodowości polskiej; lecz to, na szczęście, nie uda się prusakom z polakami, jak się nie udało austryakom z czechami.“

Dajemy czytelnikom surowy materyał sprawy, bez zbytecznej obrony i wyroku. Zauważymy tylko, że przepowiednia *Swieta* co do zawodności pruskich środków zagłady wydaje nam się prawdopodobną.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zagadnienia polityki zagranicznej, w braku wypadków poważniejszych, tak jałowieją, że podobne są do bąblów na mętnej wodzie, które wydymają się i po chwili rozpryskują w kolumnach prasy codziennej. Pióro cofa się przed łowieniem i przekłuwaniem tych pęcherzyków, wypełnionych domysłami o zamiarach Koburga lub Bismarka. Zadawniony i — powiedzmy szczerze — szkodliwy nałóg trzyma naszą uwagę w tej plątaninie doraźnych hipotez, które niczego nie uczą, prócz kołowatej krętaniny i kombinacyj talmudycznych. Pragnąc myśl czytelnika zwrócić na sprawy bardziej uchwytne a przedewszystkiem bliższe, kierować ją będziemy w sprawozdaniach z „Tygodnia politycznego“ ku tym przedmiotom i widnokręgom, które z życiem naszem mają bezpośrednią styczność. Prasa rosyjska coraz bardziej wygładza swe różnice i zestraja się do zgodnego tonu tak dalece, że rzadko jej głosy tworzą rozdźwięk w kwestyach zasadniczych. Niedawno *Pester Lloyd*, z powodu wycieczki węgrów na wystawę krakowską, upomniał polaków austryackich, ażeby przerwali swoją skąpą i ubogą przędzę kokonu słowiańskiego a przyrośli jednym bokiem do węgrów, drugim — do niemców. Przeciw temu wabikowi wystąpił *Rusk. Kurier.* Według niego, polacy już chyba teraz przekonali się, co warta przyjaźń niemców, którzy prowadzą Herodową politykę w Poznańskiem, i węgrów, którzy w obronie prześladowanych nawet „nie ruszyli palcem“ i którzy zawsze ze słowian usiłują „zrobić narzędzie dla interesów własnych.“ *P. Lloyd* przy tem nie miał na względzie samych galicyan, lecz wyznawców idei wszechsłowiańskiej w Austryi.

Idei tej *N. Wremia* poświęca osobny artykuł, w którym pragnie dowieść, że zrzeszenie się ludów słowiańskich (zachodnio-południowych) pod skrzydłami Austryi jest niedorzeczną mrzonką, gdyż one nie miałyby tam najgłówniejszej a koniecznej spójni — wspólnego języka. Rozwój zaś każdej mowy odrębnej przyspieszyłby tylko ich zgubę, bo sprowadziłby rozdział. Za jedynie rozumny program można tu postawić dążność do „zjednoczenia słowian na gruncie kościoła św. Cyryla i jego mowy oraz do używania dla wyższych potrzeb cywilizacyjnych języka ogólno-słowiańskiego, którym musi być język ruski.“ *N. Wremia* przeto posunęło się już o krok dalej, niż np. *Swiet*, gdyż żądaniem swojem objęło wszystkie „wyższe potrzeby cywilizacyjne.“

Zmieniona ustawa szkolna w Rosyi daje ciągle gazetom materyał do rozmyślań. Jeden z dzienników moskiewskich zaopatrzył ją następującym komentarzem: „Czy państwo, łożąc na wykształcenie młodzieży nie powinno miarkować tej cyfry o tyle, o ile istotna potrzeba wymaga? Przeszło 25 lat rząd odpowiadał przecząco na to pytanie. Dopiero ostatni cyrkularz odpowiedział „tak,“ i ten wzgląd usprawiedliwia ograniczenia. Obliczono, że każdy student uniwersytetu kosztuje skarb rocznie 400 rub., a jednak widzimy ze statystyki gimnazyum w Taszkiencie, że każdy gimnazista kosztował skarb kilkadziesiąt tysięcy rubli; tymczasem świadectwo dojrzałości otrzymało zaledwo 7% i setki tysięcy przepadły. Wszakże cała wieś lub gmina odrabia teraz powinność zamiast jak dawniej dla pana, dla studenta lub gimnazisty, z którego nie wiadomo jeszcze, czy będzie pożytek. Czy to słusznie, aby wsie i gminy pracowały dla ucznia taszkenckiego?“

Na to odpowiada *N. Wremia*, które niedawno usiłowało dowieść, że oświata nie jest szkodliwą: „Zastanawiając się nad zasadniczem zdaniem powyższej gazety, zdumiewamy się nad jej logiką. Jeżeli teraz, gdy uniwersytety są przepełnione, pojedynczy student kosztuje skarb 400 rs. rocznie, to ileż ma kosztować, gdy liczba studentów choćby o cztery będzie niższą? Spodziewamy się, że gazeta zrozumie nasze zdumienie, bo jak dotąd nie mamy powodów do obawy, aby cyrkularze ostatnie były przygrywką do zredukowania liczby uniwersytetów i gimnazyów. Gdy zaś ilość ich pozostanie niezmieniona, to utrzymanie ich wcale taniej nie wypadnie, bo personel naukowy i inne wydatki nie zależą od liczby uczniów, a przynajmniej w bardzo małym stopniu. Jeżeli więc dotychczas student kosztował skarb 400 rs., to po zmniejszeniu liczby studentów naprzykład o trzy razy, koszt na jedną głowę wyniesie 1,200 rs. Jakąż więc tu korzyść odniesie gmina i wieś, odrabiające jakoby pańszczyznę na oświatę? Ciężar ten nie ulegnie żadnej zmianie a różnica będzie taka, że państwo, płacąc całego rubla, otrzymywać będzie towaru za pół rubla, za ćwierć i mniej jeszcze. A może oryginalność poglądów gazety moskiewskiej idzie jeszcze dalej, aniżeli to wnioskować można z jej artykułu? Bądź co bądź, wdzięczni jesteśmy gazecie, że oryginalną swą apologią ostatnich rozporządzeń, może mimowoli oświetliła je z nowej strony. Bo w istocie, pomimo naszego ubóstwa, gdy każdy nowy grosz potrzebny na opędzenie choćby koniecznych wydatków w kłopotliwem położeniu stawia skarb, chcemy tracić jeszcze 800 — 1,200 rs. na to, co mieliśmy i moglibyśmy mieć dwakroć lub trzykroć taniej. Zdawałoby się, że oświata jest takiem złem, iż dla zapobieżenia mu, mimo biedy, nie można żałować pieniędzy skarbowych. Czyżby rzeczywiście należało oczekiwać, że za redukcyą uczniów pójdzie redukcya liczby samych zakładów naukowych? Byłby to krok całkiem logiczny.“

Co mówił Crispi z Bismarkiem, po co hi-

MINISTER

przez

Belę Toth.

Gdy za moją głupią bazgraninę rozsądniejsi ludzie zapakowali mię na kilka miesięcy do kozy, ćmiłem pewnego pięknego wiosennego dnia papierosa w towarzystwie mego szanownego towarzysza celkowego, Leona Frankla, który z podobnych powodów odbywał półtoraroczną kuracyę w tym pięknym chłodzie letnim — przedsionku Waitzeńskiego więzienia stanu.

Kiedy tego niebezpiecznego, ale bardzo przyjemnego człowieka wsadzono do mej celi, uczułem się szczególnie zaszczyconym, albowiem dotąd siedziałem był tylko z synem sędziego z Röckere w pierwszej klasie szkoły pijarów za nieodrobienie pensum łacińskiego. Ministra wszakże dostałem po raz pierwszy za kolegę celkowego.

Zazwyczaj nudziliśmy się jak organy w wielki piątek. Z początku chciał Leon Frankl zabić czas usiłowaniami zjednania mnie dla komunizmu, lecz wkrótce przekonał się, że trudy jego są nadaremne. Pochodziło to stąd, że jeszcze przed dziesięciu może laty z moim przyjacielem przy dobrej butelczynie wina założyłem był państwo. Przyjaciel mój opuścił nasze idealne, wywędrował do zbiorowego, austro-węgierskiego i poniżył się tam do stopnia radcy rządowego. Skutkiem tego pozostałem w nowem państwie sam, jako potentat, naród, wojsko, duchowieństwo w jednej osobie i właśnie dlatego nie pozwalał mi mój interes dopuszczać do mych granic niebezpiecznych nauk Frankla. Były minister komuny zaniechał przeto przejednywania mnie i poszukał sobie innego sposobu na nudy; zaczął się uczyć węgierskiego i budził mię co rano recytowaniem noweli Jokaja podług metody Toussaint-Langenscheidta. Poprawiałem go tedy zawsze; gniewał się zwykle: stanowiło to wcale przyjemną rozrywkę w więzieniu, gdzie z nudów prawie się umiera.

Paliliśmy tedy w to piękne wiosenne popołudnie w przedsionku więziennym. Zalatwiliśmy się już z codziennemi rozrywkami: polowaliśmy już na szczury, ścigaliśmy się z ślimakami, z chrząszczów zostawiliśmy perpetuum mobile, ojcze nasz po francusku do końca odklepaliśmy — i wreszcie nudziło nas już ziewanie. Gra w karty byłaby teraz na porządku dziennym, ale niebezpieczny ten mąż nie chciał grać ze mną więcej w taroka, raz bowiem z trzydziestodwukartowej talii wykradłem wszystkie cztery asy i dopiero po upływie trzech tygodni zrobiłem uwagę: „Dziwna, że tak rzadko dziś dostaję asa coeur.“ Tego strasznie nudnego popołudnia nie wiedzieliśmy rzeczywiście co począć, jeśli nie rozmawiać, co, jak wiadomo, jest najnudniejszą rozrywką.

* *

— Powiedz no stary — rzekłem między dwoma ziewnięciami — jaką właściwie miałeś tekę, będąc ministrem komuny paryskiej?

— Traveaux publiques.

— No, ładnych dokonywaliście „robót publicznych,“ trzeba wam to przyznać! Od obalenia kolumny Vendome aż do podpalenia ratusza. Zażytkowaliście czas!

— Kolumnę Vendome kazał obalić Courbet. Zresztą pstry ten komin bronzowy nie ma żadnej wartości artystycznej. Co się tyczy reszty, było to wyłącznie paskudzenie. Nic nie poradzisz z naftą. Ach, gdybyśmy mieli byli dynamit! Jednakże i w podpaleniu nie brałem żadnego udziału, bo mnie

szpanie i francuzi posyłają okręty do Maroko, co nastąpi po wyborach do sobrania bułgarskiego, które dały rządowi 258 zwolenników a 20 kilku nieprzyjaciół, czy Ejub chan został wreszcie rozbity i złapany, czy następca tronu niemieckiego wyzdrowieje—oto są zagadki, którenmi obecnie zajmuje się prasa europejska. Tylko francuska ma swoją własną i smaczną, bo skandalem przyprawioną strawę. Wykryto złoconą norę niejakiej pani Limousin, która do spółki z gen. Caffarelem i innymi dygnitarzami wojennymi wyjednywała za pieniądze znaki legii honorowej. Głównych ptaszków wsadzono do klatki więziennej; inni jeszcze fruwają swobodnie, a ma być także między nimi zięć Grévego, Wilson, którego nazwisko nieraz już rzucane było do rozmaitych błot paryskich.

W St. Gallen (w Szwajcaryi) odbył się wiec socyalistów niemieckich, na którym ogłoszono stanowczy rozbrat z anarchistami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OŚWIATA BEZ GŁODU.

Krajem zbrodni politycznych jest Anglia, ale i widownią dobrodziejstw. Przychodzą one od czasu do czasu, spadają raczej jak legendowa manna z nieba, nie wymożone krwi przelewem, spokojne reformy, które ważą potężnie na szali przyszłości.

Wiek siedemnasty, ta tyle urozmaicona karta dziejów wielkobrytańskich, zaznaczył się aż dwiema rewolucyami, które razem mniej kosztowały dusz ludzkich, niż pierwsza lepsza ruchawka uliczna w Paryżu, a przecież głęboko zapuściły korzenie w byt państwowy i żadnych restauracyj, żadnych burbonad mogą się nie obawiać. Czasy nowsze niejedną też zmianę pomyślną przyniosły, choć ciało społeczne wciąż krwawi się olbrzymią, szeroko rozwartą raną — tak zwaną kwestyą irlandzką; a dobrem najświeższem, jeszcze nie zastygłem, jest projekt w części zamieniony w czyn, rozdawania strawy biednej dziatwie szkolnej. Ażeby uznać zasadę porównywania go pod względem wagi z wielkiemi, cały naród ogarniającemi przeobrażeniami, trzeba rozumieć, że Anglia jest ojczyzną strasznej nędzy, że pod bokiem magnateryi i wielkiego przemysłu tarza się tam w błocie milionowy proletaryat, co pędzi żywot bydlęcy nieledwie, rzucony na pastwę ustawicznego głodu, brudu i zepsucia. Stolica Francyi niczem jeszcze w porównaniu z ogniskami życia za morzem. A jednak od tych zezwierzęconych i upodlonych milionów żądają, ażeby dzieci swe posyłały do szkoły, każą im uczyć się o chłodzie i poście i szukać pożywienia własną przemyślnością, innemi słowy, żebraniną i kradzieżami. Prawda — była pora, kiedy i światła żałowano nędzarzom i opiekowano się nimi tak samo, jak rojami komarów nad bagnem. Ale ten jeden krok postępowy, to dopiero początek słusznego i szlachetnego dzieła — i czas już widać najwyższy uzupełnić je, skoro upomina się o to sąd ogółu.

Jeden z rzeczników jego, Herbert Sargant, zdawna zasłużony na polu oświaty ludowej działacz, wzywa za pośrednictwem *Fortnightly Review* *) rząd, ażeby przystąpił nareszcie do ostatecznego załatwienia palącej sprawy. Stamtąd dowiedzieć się można, że już około roku 1840 istniała w Birmingham szkoła elementarna, gdzie uczącym się dawano obiady prawie darmo. Później około roku 1860 urządzono zakłady naukowe, sprzedające wychowańcom swym obiady za jednego pensa (pięć groszy), a nawet półobiady. Zapał dla tego rodzaju filantropii wielokrotnie słabnął; podsyciły go dopiero płomienne mowy Mundelli, znakomitego twórcy kas zaliczkowo-wkładowych, wygłoszone w Izbie gmin 1883 r. Devonshire, Farnell, oraz kilka innych miejscowości zaprowadziły u siebie apostołowany przez niego system, dobroczynny osobliwie podczas surowej zimy i dla dzieci, mieszkających zbyt daleko, ażeby mogły wracać do domu dla posilenia się. One też głównie były przedmiotem pieczy. Zwyczaj stał się niemal powszechnym wskutek niezmordowanej agitacyi Moora Ede, który pojął odrazu, że to, co się praktykuje w szczupłym zakresie, zbudowane być może i na większą skalę, a zatem nietylko w interesie ludności wiejskiej, lecz i miejskiej. Wkrótce jedno z środowisk przemysłu fabrycznego, Birmingham zaprowadziło wydawanie strawy za jednego pensa we wszystkich zakładach początkowych.

Niestety, nie była to ulga, jakiej się spodziewano. Bieda ostateczna, nie mogąca zdobyć się nawet na tak mizerną kwotę, i w dalszym ciągu żyła powietrzem; podobnież dzieci, którym rodzice przez skąpstwo odmawiali pożywienia — nie zyskały nic a nic, boć łatwo się domyśleć, że i pieniędzy nie otrzymywały. Wówczas to konieczność natchnęła życzliwych ludowi myślą wydawania obiadów całkiem darmo — ale i teraz nie wszystkim jeszcze, a jeno pewnemu bardzo znacznemu procentowi ($^4/_5$). Była to istotna konieczność, albowiem — zgroza wypowiedzieć — dziatwa szkolna pościła niekiedy całymi dniami i miłosierdzie szkolne stało się dłoń prawdziwą, ba, jedyną deską ratunku! Lichem śniadankiem rozkoszowały się dzieci i znajdowały je niezwykle znakomitem. Wspaniały temat dla p. Konopnickiej.

A w domu? W domu całym ich zbytkiem był chleb, rzadko kiedy w dostatecznej ilości. A odzież? Daremnie byś jej szukał na wychudzonych ciałach. Zastępowały ją brudne łachmany, częstokroć pozczepiane jedynie sznurkami, a zamiast obuwia były łapcie, kaleczące nogi nie gorzej od bruków. Z popędami moralnymi bywało nieraz smutno. Pod szkodliwym wpływem rodziców kwitnęły nałogi, na które oddziaływać podczas trwania ich opieki było wprost niepodobieństwem.

Z przekąsem niech nie pyta sceptyk o rezultaty przekształcenia podobnych warunków. Prawda, że na razie wybuchnął entuzyazm niekrytyczny i w świetle jego zdawały się ginąć wszelkie zła. Postanowiono sprawdzić, o ile był on uzasadniony. Lecz że dane zbierano nieumiejętnie, opierając się wyłącznie na luźnych wzmiankach nauczycieli, Herbert Sargant sam przystąpił do dzieła, opracował szematy statystyczne i pokierował gromadzeniem wskazówek. Manipulacyę pominąwszy, musimy zaznaczyć jej wyniki. Nie są tak *wszechstronnie* świetne, ale zawsze *zdumiewające*. Poprawił się znakomicie wygląd dzieci, zyskały wiele na wadze, wzrosła odporność na choroby, poprzednio mrowiem ją obsiadające, siła fizyczna, apetyt i zdolność trawienia, słowem wyszły na jaw wszystkie cechy prawidłowego odżywiania. A trwało ono jednak nie dłużej, jak pięć miesięcy.

Rzecz ciekawa, jak się przedstawiły rezultaty czysto-wychowawcze. Otóż zauważono znaczny przyrost liczby uczęszczających, większą w uczęszczaniu wytrwałość, tak, iż nie osłabiły jej nawet srogie mrozy, podczas których same władze szkolne mniej silny wywierają przymus. Co do postępów w naukach, przyznaje bezstronnie autor, że wogólności głód nie okazywał się dla nich zabójczym; napotykano i dawniej wiele jednostek pilnych, pomimo pół-postu. Za to widocznie potęguje się chęć do książki i pra-

*) „Free dinners at national Schools," zeszyt wrześniowy.

---

moja teka ministeryum robót publicznych pochłaniała zupełnie.

— I cóżeś w niem robił?

— Grupowałem próżnawanie, ażeby tak wyglądało, jak działalność gorączkowa. Moje ministrowanie było szczególnym stanem. Posłano mnie do wielkiego pałacu, w którym ziewało ku mnie 70 pustych sali. Nigdzie ani duszy, ani stołu, ani krzesła. Meble oddawna podczas oblężenia zużyto na opał, a z portretów generałów napoleońskich, które wycięto z ram, porobiono sławne płótna nieprzemakalne dla obozowania na deszczu. Z loży odźwiernego wydostałem stół kuchenny, było to moje biórko, i stołek słomiany — fotel ministeryalny. Co się tyczy pracy, miałem mniej do roboty, niż węgierski nadżupan, pomimo że w jednej osobie byłem wszystkiem: ministrem, sekretarzem stanu, radcami, urzędnikami, adjutantami, nawet woźnym i jego żoną.

Na honor, przyjacielu, w żadnem z moich więzień, tak się nie nudziłem jak w tej wspaniałości. Z początku spędzałem czas urzędowania na pisaniu sonetów francuskich. Skoro inni na ulicach burzyli i ja chciałem hołdować wściekłości burzenia. Gdym się jednak przekonał, że język francuski zupełnie zeszedł na psy i że nie można w nim nic już zepsuć, opanowała mię ochota — jako reakcya — stworzenia czegoś. Muszę przecie jednak coś zarządzić, ażeby zostawić ślad mego ministerstwa w dziejach świata. Hop! Pewnego wieczoru wpadła mi wielka myśl do głowy. W całej mej karyerze komunistycznej stale występowałem przeciwko pracy nocnej. Serce biło mi mocniej na myśl, że przecie jestem w możności starcia najkrwawszego potu. Niechaj kapitał więcej nie rabuje snu! Biedny robotnik niechaj nie cierpi w dusznem, zadżumionem powietrzu warsztatów, biedne dzieci o czerwonych, przez bezsenność znużonych oczach, które przy świetle lamp fabrycznych na pół gnijąc wegietują, niechaj nie dźwigają jarzma, podczas gdy synowie bogaczów chrapią na jedwabnych łożach. Wyciągnąwszy mój kałamarz kieszonkowy, napisałem piorunujący reskrypt ministeryalny, którym pod zagrożeniem kar stanu zakazałem wszelkich robót nocnych. Woźny — w mej osobie — odniósł natychmiast rękopis do drukarni państwowej i nad wieczorem na rogu każdej ulicy widziano czerwony plakat: zakaz pracy nocnej.

* *
*

Z błogiem uczuciem spełnienia wielkiego, uczciwego i odważnego czynu paliłem cygaro, siedząc w ministeryum. Nagle rozlega się krzyk piekielny przed pałacem i widzę zbliżający się w zmierzchu olbrzymi tłum: kolosalną masę ludu z toporami, strzelbami, szablami, błyszczącemi w ciemnościach. Co znaczy ten hałas, stopniowo rosnący w burzę? Doszedłszy do okien, mogłem już był rozróżnić krzyki:

— Precz z tyranem! Na latarnię!

Początkowo nie zrozumiałem, kogo to oni naprzód ściągnąć, później zaś wciągnąć do góry chcieli. W Paryżu w owym czasie nie było godziny jednej bez podobnego zbiegowiska. Jednakże zauważyłem, że wszystkie te drągi, topory i oręż zwrócone były przeciwko memu balkonowi. Do dyabła, czyż ta owacya mnie się tyczyła? Otworzyłem drzwi od balkonu.

Olbrzymi ryk był odpowiedzią na ich poruszenie; gwizdania rozcinały mi uszy jak noże.

— Śmierć tyranowi! Na lancę jego głowę! Zabijcie go! Rozedrzyjcie go! Wolność pracy!

Dziesięć tysięcy wzniesionych pięści towarzyszyło temu rykowi; uderzyło mię, że wszystkie te dziesięć tysięcy pięści były białe jak mąka. Nagle ucichło się, potem nastąpił szmer, jak przed mową. I rzeczywiście, długi jak drzewo chłop wlazł na ko-

cy po obiedzie. Snać niewymagającym robotnikiem jest mózg nędzarza.

Wreszcie — gwałtowny podskok poziomu moralnego zadziwia najwięcej i w tem podziwiać należy prawdziwą koronę przedsięwzięcia. Ze wszystkich sprawozdań wypadło, że złe skłonności znikły bez śladu; krnąbrność, kłamliwość zostały wyleczone w parę tygodni; jednostki zawzięte i mściwe zamieniły się w pokornych baranków, a chciwcy prosili, by im wolno było dzielić się obiadem z rodzeństwem. Tak mniej więcej opiewały raporty. Cóż dopiero mówić o żebraninie i kradzieżach? Zabrakło pobudek, więc i same występki straciły racyę bytu, a aresztom policyjnym wydarto mnóstwo nieletnich mieszkańców.

Byłoby próżnem gadulstwem rozbierać doniosłość tego uszlachetnienia obyczajów. Jeśli srebrem jest wykształcenie — dobre instynkta są złotem, a dla społeczeństwa — podstawą granitową. Przebywamy okres, w którym wysoka inteligencya tak się czuje, jak sokół w klatce; prętami, co ją ranią i kaleczą, są instytucye nie dorosłe do jej poziomu: więc wpada w zwątpienie i rozpacz. W takich bolesnych przesileniach rośnie w cenę moralność, a wszystko, co ją od spodu, od nizin umacnia, odgrywa rolę zbawczego leku. Nie o mnożenie naukowego proletaryatu dziś chodzi, ale o zahartowanie płonek edukacyą średnią i niższą. Reforma, odbywająca się w Anglii, ukośnie zmierza do uczynienia temu postulatowi zadość, albowiem uznawszy skuteczność lekarstwa, chce je zrobić udziałem wszystkich.

A środki na to nie tak duże. Obliczył Sargant, że koszt obiadu z rodzaju wydawanych obecnie nie przenosi połowy pensa, a wraz z urządzeniem i innymi wydatkami trzech piątych. Po wsiach mniej jest wprawdzie dzieci i przeto na każde stosunkowo więcej wypada nakładu, ale przewyżkę aż nadto równoważy większa taniość gospodarki i pomieszczenia. Ponieważ dni szkolnych jest w roku około 225, zatem 14-ma szylingami można pokryć koszt całorocznego stołu jednego ucznia.

Wypływa stąd wniosek praktyczny, niezmiernej wagi. Jeśli przyjąć, że przeciętna liczba dzieci do lat 15-u potrzebujących pomocy, stanowi 4 procent ogólnej ich liczby w trzech połączonych królestwach (8 milionów—jest to cyfra możliwie wysoka) czyli 330,000, otrzymamy, iż 230,000 funtów szterlingów rocznie *starczyłoby na pokrzepienie obiadami wszystkich* w domu wygłodzonych uczniów. Zbyteczna chyba nadmieniać, że Sargant ową przeciętną wyprowadził z danych, dostarczanych przez rozmaite okolice i w różnych porach roku.

Innemi słowy, piąty procent wydatków, łożonych dzisiaj na cele edukacyjne przez rząd brytański, mógłby stworzyć nową epokę w życiu mas i całego społeczeństwa. Nie znaczy to, że zniósłby propagandę przekształcenia stosunków ekonomicznych, która tyle strachu napędza umysłom pewnych pisarzów, ale co ważniejsza, ograniczyłby pole zbrodni i występków. W ten sposób koszt wróciłby się i wrócił z okładem; a może i nie dorównałby sumom łożonym na dozór kryminalny nad przestępcami, wypielęgnowanymi przez głód i ciemnotę. Nie należy, zdaniem projektodawcy, naglącej tej reformy powierzać miłosierdziu prywatnemu: nie odrzucać go bynajmniej, ale zająć się urzędownie jaknajrychlejszem jej przeprowadzeniem. „Niebezpieczeństwa zaniedbania tej prostej przezorności są wielkie, a korzyści z niej płynące leżą jak na dłoni.

Tak dalece grunt w Anglii przygotowały dawniejsze urządzenia natury pokrewnej, że słowa i wywody Sarganta uważać trzeba za głos opinii, przekonywający i natarczywy. Niedaleko doba, w której ląd starego świata ogarnie wstyd, że pozostał w tyle za poważnym, klasycznym krajem swobód obywatelskich. Kogo ponure napastują myśli na widok rękawicy rzuconej średniemu wykształceniu w Austryi — niechaj czerpie otuchę w myśli, że zdrowy rozsądek nie wszędzie stał się odległem wspomnieniem.

N. H.

Z GALICYI.

Lwów, 8 października.

Dalszy ciąg wizyty ministeryalnej. — Braki w szkolnictwie. — Uniwersytet. — Odpowiedź ministra do deputacyi młodzieży akademickiej.— Artykuł *Dzien. pol.* o wizycie.

Skończona już podróż pana ministra oświaty, o której poprzednio pisałem. Przebiegł p. Gautsch wzdłuż całą Galicyę, był i na Bukowinie, a po osmiodniowej przejażdżce powrócił do Wiednia. Charakterystyczne cechy tych odwiedzin występowały i w dalszym ich ciągu. Na większych stacyach przyjmowano ministra z hołdami niezwykłymi, on też nawzajem nie skąpił objawów uprzedzającej grzeczności i słów pochwały.

Po Bochni zwiedził szczegółowo Przemyśl i tam objawił swe zadowolenie. Na obiedzie u biskupa Soleckiego wyraźnie nawet zaznaczył w toaście, że znalazł bardzo wiele dobrego, a drobne braki w administracyi będzie się starał uchylić, bo żywi dla kraju jaknajlepsze chęci. Według *Gazety lwowskiej*, w końcu mowy z naciskiem podniósł, iż w Galicyi zauważył zgodne wspólne działanie obywatelstwa i wszystkich warstw ludności około rozwoju szkolnictwa, czego gdzieindziej nie spotkał. Miły Boże! Jak też ten pan minister ma bystre oko. Gdyby tak przysłuchał się obradom ankiety szkolnej lub przeczytał kilka roczników sprawozdań sejmowych, gdyby wreszcie przejrzał budżety krajowe w rubryce wydatków na szkoły, możeby pożałował pohopnego nieco zdania. Kto wie zresztą! Wszak grzeczność — to rzecz niekosztowna, a tak ludzi ujmuje.

To ujmowanie ludzi, zdaje się, odgrywało jakąś rolę w podróży p. Gautscha. Nie umiem sobie bowiem wytłomaczyć gorliwości, z jaką po opuszczeniu Przemyśla udał się do Chyrowa, gdzie znajduje się zakład wychowawczy jezuitów. Zdala od gwaru świata pobożni ojcowie olbrzymim stosunkowo nakładem wznieśli tu wspaniały gmach i wychowują 250 (na teraz) szczęśliwych wybrańców, którym fortuna pozwoliła oddać się w opiekę czarnosutannych nauczycieli. Nie silę się na opis wspaniałego przyjęcia p. ministra. Zaznaczam tylko, że w towarzystwie całego szeregu dostojników świeckich i kościelnych (samych ekscelencyi było tam coś 5 czy 6!), przyjął wieczerzę i nocleg od bogobojnych ojców, a dnia następnego zwiedzał zakład, egzaminował itd. — no i wyrażał się o wszystkiem z wielkiem uznaniem.

Nie szczędził także pochwał i w Stanisławowie, a w końcu i we Lwowie, dokąd przybył w środę 5 b. m., a zabawił przez czwartek i piątek.

Mimo pośpiechu, z jakim musiał zwiedzać wszystkie prawie zakłady naukowe we Lwowie (a jest ich liczba niemała, dość wspomnieć uniwersytet, politechnikę, cztery gimnazya, szkoły fachowe i wiele ludowych), miał przecież sposobność zauważyć, że Lwów to nie Arkadya. W jednem gimnazyum klasy równorzędne mieszczą się w trzech budynkach o kilkaset przynajmniej kroków od głównego gmachu i to w takich warunkach, że trzeba przez jakieś kuchnie przechodzić do sal wykładowych, a zmysłowi powonienia grozi niebezpieczeństwo; w pół-ciemnych, dusznych salach tłoczy się po kilkudziesięciu uczniów. Uniwersytet—to stara, ciasna buda średniowieczna, przynosząca zakałę miastu, a znako-

---

ło wprędce przewróconego fiakra i rozwarł usta do mowy. Jeszczem nigdy podobnie olbrzymiej gęby nie widział. Łobuz ten miał twarz zupełnie białą, jak gdyby upudrowaną, a w pośrodku niej usta, ile razy otwierał je, robiły na mnie wrażenie strasznie wielkiej, czarnej dziury.

A rozwierał je olbrzymio szeroko, przyczem oba, nagie ramiona, które aż po łokieć pokrywały grube rękawiczki — z ciasta — wyrzucał ku niebiosom. Dzielny młodzieniec ryczał coś w rodzaju następującym:

— Bracia po myśli! Spółobywatele! Minister robót publicznych, ten podły, nędzny łotr, że nie powiem, do pewnego stopnia nierozważny polityk, chce kościół naszej indywidualności cisnąć w Rubikon!

Frenetyczne „très bien."

— Ten wyzuty z czci tyran, ten nędzny zdrajca chce stłumić nam domowe ognisko, chce kotwicę naszych nadziei, na których dumnem polu bitwy kolumna samowiedzy patryotycznie się wznosi, uczynić wdowami i sierotami!

Ryki „brawo."

— Śmierć tyranowi! Spiżowa tarcza naszych zasad łaknie jego krwi, która nie może więcej kwitnąć, gdy piękna wiosna znowu powróci i tę nikczemną ciecz musimy strącić z piersi naszych piramidy, z której 4,000 lat na was spoglądają.

Na szczęście olbrzymia ta paszcza przy dziesiątem zdaniu zupełnie ochrypła od krzyku. Wstąpiłem na balkon, w środek grzmiącej burzy. Natychmiast wrzucono mi na górę ze 25 kijów a dyabelnie długą piką kłuto baryerkę balkonu. Dzisiaj byłbym marnym kulasem, gdybym nie był w porę odskoczył.

— Obywatele! Ludzie!—krzyczałem z kolei do tłumu. Czego chcecie? Porozumiejmy się! Niechaj roztropny człowiek z pomiędzy was powie, czego sobie życzycie?

— Twojej głowy, tyranie! — odpowiedział chór tysiąca głosów.

A skoro widzieli, że jej na pierwsze żądanie nie daję, starzec o zamączonej brodzie i zabrudzonej bluzie wstąpił na połamany fiakr, nakazał spokój i przemówił:

— Obywatelu-ministrze! Jesteś taki sam łajdak, jak inni. Jesteśmy piekarze paryzcy, których zarobek nikczemnym swym reskryptem zrujnowałeś do szczętu. Skoro nam zabraniasz pracować w nocy, pozbawiasz nas najlepszego zarobku, bo przez cały dzień nie możemy sprzedać tyle bułek, ile wynosi samo ranne pieczywo. Co Paryż ma jutro gryźć, jeśli nam w nocy piec nie wolno? Czy rozważyłeś to, ty tyranie, który się do syta nażarłeś potu biednego ludu? Mnie samemu kradniesz co rano 1,000 sous z kieszeni, ty zbóju uliczny, ponieważ sprzedaję regularnie 1,000 sztuk. Czy słyszysz to, podły paszo?

— Wolności pracy! Pracy nocnej! — ryczały tłumy.

— Kochani spółobywatele! — przemówiłem — działałem z czystem sercem, gdym ciężarowi waszej pracy chciał ulżyć moim reskryptem. Ciało potrzebuje wypoczynku.

— Nie potrzebujemy wypoczynku, bo nie będzie wtedy pieczywa rannego!—przerwał mi zmęczony starzec i wyciągnął butelkę nafty z pod swojej bluzy. Dalej chłopcy! Wykadźmy, wywędźmy gałgana, który nas chce wykierować na żebraków. Hura!

* *
*

Eksminister komuny wypróżnił swą fajeczkę i zamilkł.

— No, a co dalej? — zapytałem.

— No, dodać tylko winienem, że Paryż nigdy wcześniej i świeższych nie jadł bułek, jak nazajutrz.

micie świadcząca o rzetelnej opiece, jaką kierownicy oświaty w państwie roztaczali nad nauką. Nie dziw też, że minister przecież na taki widok musiał zrobić kwaśną minę. A jednak, kiedy deputacye zwracały uwagę jego na te braki i niedogodności, przypomniał sobie swą wysoką rolę i przyrzeczeń żadnych na seryo nie zrobił. Co gorsza nawet, wbrew twierdzeniom pism miejscowych, które jego odpowiedź — prawdopodobnie na podstawie informacyi interesowanych w tem osób u góry — podały w formie niejasnej i połowicznej, całkiem stanowczo i wyraźnie odpowiedział, że z wydziału lekarskiego we Lwowie nic nie będzie *). Obecni, znający dobrze stosunki galicyjskie, ze słów ministra przyszli do przekonania, że Kraków, ten stary antagonista Lwowa, w tej sprawie umaczał palce, że ludzie, którzy widzą grożące wrzekome niebezpieczeństwo dla młodzieży, starają się zatrzymać ją tam, gdzie łatwiej ująć ją w karby, gdzie zresztą tego rodzaju próby już się powiodły. Po cóż więc rozszerzać uniwersytet lwowski, kiedy w Krakowie tyle jeszcze do zrobienia? Oto wywód logiczny w „poważnych“ głowach.

Deputacya młodzieży akademickiej była na posłuchaniu u ministra i prosiła go o zaprowadzenie wydziału lekarskiego i utworzenie katedry slawistyki. P. Gautsch odpowiedział na to, że sprawa utworzenia wydziału medycznego i katedry nowej nie należy do kompetencyi młodzieży, że więc o niej powie na miejscu właściwem; natomiast dziękował za powitanie i zachęcał do gorliwej pracy naukowej. Zaznaczyłem ten mały fakcik, aby zwrócić uwagę, jak dziwne u nas panują zapatrywania na swobodę konstytucyjną i stanowisko młodzieży akademickiej. Pomijam już to, że student powołany jest, aby za rok, dwa, staną w rzędzie obywateli kraju i pracować pospołu z wszystkimi dla dobra społeczeństwa. Alež, żeby w państwie konstytucyjnem dorosłemu i rozwiniętemu człowiekowi nie wolno było *prosić* o coś władzę — to jest prawie zabawnem.

Skończyła się więc „uroczystość,“ zobaczymy jej owoce. Że jednak *captatio benevolentiae* odniosło swój skutek, o tem nie wątpię. Upewnił mnie w tem artykuł *Dziennika polskiego*, który po wizycie ministeryalnej uderzył w hymn pochwalny dla p. Gautscha za troskliwe informowanie się o potrzebach szkolnych i zapowiedział, że polscy posłowie dla pięknych jedynie oczu czeskich sprzymierzeńców opozycyi ministrowi oświaty robić pewnie nie będą. (Aha. *Red.*).

Leszek.

*) Niezmiernie charakterystycznem dla rządu austryackiego w jego szczodrocie i dla galicyan w ich skromności jest przyznanie uniwersytetowi lwowskiemu *dwu* katedr wydziału lekarskiego (fizyologii i anatomii). Gdzieindziej ruszono by ramionami na takie drwiny z rzeczywistej potrzeby kraju, tam pocałowano hojną rękę. *Red.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Bank włościański.

Bank włościański, którego projektowaną ustawę podaliśmy szczegółowo w jednym z poprzednich numerów *Prawdy*, zbliża się podobno do urzeczywistnienia, a skutkiem tego odbiera rady i wskazówki od prasy ruskiej. *Mosk. Wiedomosti* zalecają, ażeby on nie był, jak w Cesarstwie, instytucyą czysto finansową, lecz także polityczną i zwłaszcza zajął się „wzmocnieniem własności ruskiej w kraju Przywiślańskim,“ przyciągając włościan z gubernij środkowych i zasilając nimi przedewszystkiem Ruś chełmską. Wiadomo czytelnikom naszym, że myśl tę podjęło dawniej *Now. Wremia*, które ją rozszerza teraz na prowincye północno i południowo-zachodnie. „Sądzimy — powiada ono — że taka działalność banku byłaby jeszcze potrzebniejszą na Litwie i Białorusi, niż w guberniach kraju Przywiślańskiego. W ciągu dwóch lat ostatnich wyjaśniło się wiele faktów, które nie świadczą bynajmniej o poważnych postępach sprawy ruskiej w tych ziemiach, podlegających silnemu wpływowi polonizmu. Można, oczywiście, żałować, że w ciągu 25 lat zrobiliśmy tak mało postępu na Litwie i Białorusi, lecz w każdym razie czas jeszcze do działań poważnych w interesach naszej sprawy i niema zasady, abyśmy porzucili te działania, mając w ręku tak piękny środek, jak bank włościański, który bez wielkich trudności mógłby wypełnić jedno z głównych zadań znanego „programu“ Murawjewskiego.

Mosk. Wied. pomiędzy innemi wzmiankują, że bank włościański zająć się musi wzmocnieniem własności ruskiej za pomocą przesiedlania włościan z gubernij środkowych, a szczególniej do *Rusi chełmskiej, podobniejszej co do składu swych mieszkańców więcej do kraju zachodniego, niż do pozostałych gubernij* przywiślańskich. Takie wyróżnienie miejscowości z ludnością ruską jest zupełnie zrozumiałem, gdyż, nie zabezpieczywszy się wśród swoich, trudno zabezpieczyć się wśród obcych...“

Naturalnie nie wiemy, czy to są tylko życzenia obu gazet, czy też wiarogodne informacye.

Taryfa celna.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Petersburgu obradowało nad zmianami w taryfie celnej. Prezes oświadczył, że minister skarbu wyznaczył do tej sprawy osobną komisyę, której prace po wydrukowaniu będą rozesłane towarzystwom naukowym oraz komitetom giełdowym do opinii. Komitet Towarzystwa już dawniej wzywał oddziały prowincyonalne do wyrażania zdań w tym przedmiocie; członkowie zaś tej instytucyi mają być dopuszczeni do obrad komisyi. Postanowiono naprzód wezwać wszystkich członków Towarzystwa, jako też ludzi interesowanych, ażeby nadesłali swoje uwagi o pojedynczych pozycyach taryfy, którą ono przy pomocy tego materyału rozpatrzy. Cała ta robota bardzo się niepodoba niemcom, którzy może zaczną usuwać język polski — z historyi.

Wywody p. Poletyki.

P. Poletyko, inżenier i niegdyś wydawca *Molwy*, podjął spór ze znanym milionerem Kokerowym co do przyczyn zastoju ekonomicznego w Rosyi. Spór ten z *Rusk. Archiwa* przeniósł się teraz do *Now. Wremieni*. Według p. Kokerowa, głównem złem były błędy administracyi finansowej. P. Poletyko zaś mniema, że „zubożył państwo chroniczny a półwiekowy związek chełpliwej i beztreściwej polityki zagranicznej z niespisanym zastojem i przynusowem cofaniem się rozwoju życia wewnętrznego.“ Uzasadniając swój pogląd, autor wskazuje na kwestyę wschodnią. „Sprawę tę odnośnie do Rosyi rozstrzygnięto całkiem dla niej korzystnie w epoce wojen toczonych za Cesarzowej Katarzyny. Zdobyto północne brzegi morza Czarnego i ostatecznie uwolniono terytoryum nasze od tatarów. Pozostała tylko do rozstrzygnięcia sprawa zneutralizowania cieśnin i morza Śródziemnego, a to można było osiągnąć bez ofiar, bo interes nasz w rozwiązaniu tej sprawy zgadza się całkowicie z interesami Europy. Woleliśmy jednak wojować. Nie przestawaliśmy przelewać krwi w imię swobody obcych. Trwoniliśmy zasoby na zatknięcie krzyża na Św. Zofii. I teraz nie przestajemy wojować dla dobra: rumunów, serbów i bułgarów, którzy się od nas odwracają, bo wolą przyłączyć się do cywilizacyi ogólno ludzkiej, niż do naszej cywilizacyi *sui generis*.“

Odpierając zarzuty przeciwnika, p. Poletyko akcentuje ustawicznie straty poniesione na przedsięwzięciach w polityce zewnętrznej: „Niech gorliwi obrońcy kwestyi wschodniej — pisze on — zastanowią się z należytą bezstronnością nad skutkami, do jakich niewątpliwie dojść musimy, jeśli w polityce wschodniej dogodzimy ich pragnieniom. Stoimy już na granicy Indyj i obecnie przeprowadzamy tysiącwiorstową drogę żelazną, wzdłuż której zaledwie naliczyć można 50 wiorst przestrzeni, zdolnej do zaludnienia i uprawy. Drogę tę urządzamy widocznie nie dla celów ekonomicznych, ale przedewszystkiem dlatego, aby zagrozić anglikom w Indyach, gdyby przeciw nam działali w Europie. Obecnie radzą nam przeprowadzić od tej drogi odnogę do zatoki Perskiej i tam otworzyć port wojennohandlowy, czego bez nowych wojen dopiąć niepodobna.

Na morzu Czarnem każą nam zdobywać Konstantynopol, aby przejście przez Bosfor zawsze pozostawało w naszych rękach. Lecz za Bosforem jest jeszcze Helespont, a za nim Gibraltar, bez którego, jak i poprzednio, pozostaniemy zamknięci w morzu wewnętrznem. Pozyskawszy zaś klucz od wyjścia na Ocean, zniewoleni będziemy zaopatrzyć się w tak silną flotę, żeby ona mogła pomyślnie się zetrzeć ze sprzymierzonemi flotami Europy, bez czego nasze panowanie nad cieśninami będzie wątpliwem.

Nakoniec każą nam zapuścić korzenie na półwyspie Bałkańskim dla tego, abyśmy, stojąc na czele słowian, wypowiedzieli wojnę niemcom już nie na życie, ale poprostu na śmierć. I dziś też niemal codziennie spotykamy w gazetach podżegania do okupacyi Bułgaryi. Wywołujcie wojnę europejską, traćcie miliardy, zagrzebujcie sto tysięcy żołnierzy, tego wymagają jakoby interesy państwowe ruskie.

Już teraz widzimy, ile kosztuje Europę zbrojny pokój. Ogólna liczba wszystkich armij w Europie wzrosła do 6 milionów; budżet wojenny każdego z wielkich mocarstw przechodzi 300 mil. rs., statek wojenny kosztuje 10 mil. rs., a każdy jego wystrzał 1,000 rs. Jeszcze tego wszystkiego za mało. Wyprowadzajcie wszechsłowiańskie zastępy przeciwko wszechniemieckim, zamieńcie całą Europę na obóz Czingiz-Hana, aby miał się gdzie rozigrać „geniusz rasy.“ Wobec takich dążeń zapewne że niema co myśleć o ulepszeniu finansów.“

P. Poletyko więc radzi zrzec się dalszych nabytków i zamiarów wojennych, a przytem poprawić maszynę biurokratyczną.

Now. Wremia, które te wywody pomieszcza, odmawia ich autorowi słuszności.

Spadek po Wittgensteinie.

Spadek po Wittgensteinie, obejmujący przeszło milion dziesięcin ziemi, samym swym ogromem budzi ustawiczne zajęcie prasy rosyjskiej, która obawia się, ażeby prawna dziedziczka tych majątków ks. Hohenlohe (katoliczka) nie sprowadziła ze sobą gromady niemców, a uwolniona od skutków ukazu marcowego, nie założyła olbrzymiego fortu niemczyzny „po za linią twierdz — Warszawa, Kowno, Dynaburg.“ Ponieważ zaś na tak wielką przestrzeń pożądani kupcy się nie znajdą, więc *Graždanin* radzi, ażeby dobra nabył rząd, który nawet zapłaciwszy cenę wysoką, stracić nie może. „Jeżeli kasa państwa — dowodzi ten dziennik — przyjmie wszystkie długi zmarłego księcia (a jest ich bardzo wiele), to jego spadkobierczyni przypadnie nie więcej, niż sześć albo siedem milionów przy najwyższym szacunku. Korzyści za to będą pod każdym względem ogromne: 1) rząd zyska w zachodnich guberniach silną podstawę dla rozszerzenia idej ściśle ruskich; 2) prawosławie przy pomocy rządu zakwitnie; 3) zapobiegnie się utworzeniu silnej niemieckiej kolonii, a właściwie stałego

pruskiego obozu w miejscowości tak ważnej pod względem strategicznym: 4) kupno prowiantu do bobrujskich magazynów będzie łatwiejsze i tańsze; 4) budowa fortec wymaga wiele nakładu i wydane pieniądze wcale nie procentują. Nabycie przez kasę państwa majątków Wittgensteina znaczy tyle, co budowa fortecy, z tą jednak różnicą, że strata będzie mniejszą, a z czasem, gdy wzrośnie cena ziemi i lasów, wydane pieniądze powrócą z zarobkiem.“

Za tym projektem *Graždanin* przemawia tem usilniej, że obok dóbr Wittgensteina, również w gub. mińskiej, znajduje się ordynacya ks. Radziwiłłów, (której obecny posiadacz jest adjutantem ces. niemieckiego), obejmująca 170,000 dziesiatyn. Taki obszar ziemi, wyrównywający całym państwom, a zostający w rękach dwu magnatów niemieckich, przedstawia według *Graždanina* wielkie niebezpieczeństwo dla państwa.

Kolonizacya niemiecka.

Współpracownik *Gaz. warszawskiej* zwiedził osadę, wykrojoną przez komisyę z dóbr polskich i odprzedaną włościanom niemieckim. Według niego, nabywców spotkał srogi zawód: kupili drogo ziemię pustą, nie mają czem jej zabudować i uprawiać, a biedę swoją opłakują gorzko. „Nietylko pan nie kupuj kolonii— ostrzegali oni — ale odradzaj innym landsmanom z Królestwa Polskiego. Wszędzie lepiej, niż tutaj!.. Zapracujesz się na śmierć w tym przeklętym kraju i stracisz pieniądze.“

Autor wogóle nie spodziewa się pomyślnego dla niemców końca roboty germanizacyjnej. „Kolonizacya nasza— powiada on— rozumnie i racyonalnie przeprowadzona, ma znacznie więcej widoków powodzenia od niemieckiej, mimo olbrzymich zasobów materyalnych ostatniej. Niestety, działalność nasza na tem polu jest prawie żadna.“ Prawdopodobnie autor podczas pisania tych słów jeszcze nie wiedział, że Galicya postanowiła przystąpić do Banku ziemskiego w Poznaniu z milionem złr. Z drugiej strony ulega on widocznie chęci widzenia rzeczy różowo, gdy twierdzi, że chłop niemiecki „z każdym dniem zatraca cechujące go dawniej zalety,“ natomiast zaś nasz „jako materyał kolonizacyjny daje dziesięć razy więcej rękojmi.“ Czy to nie sen?

BADANIA NAUKOWE.

HYPNOTYZM.

Badania hypnotyczne zwróciły na się od lat kilku powszechną uwagę. Rezultaty — a mówimy o wielokrotnie stwierdzonych z całą sumiennością naukową i nieulegających przeto najmniejszej wątpliwości — przelewają takie olbrzymie światło na naturę ludzką, że najzupełniej usprawiedliwiają budzone zajęcie. Nie widzimy ani jednej dziedziny życia i filozofii, której nie dotknęłyby pośrednio lub bezpośrednio wyniki badań hypnotycznych. Pod względem filozoficznym zadają one ostateczny kłam wszystkim — jak wyraża się Comte — przedpozytywnym poglądom. Teorye metafizyczne „wolnej woli“ i oparta na nich zasada odpowiedzialności i kary otrzymują cios nowy a potężny: „cudowne“ uzdrowienia, „święte“ stygmaty, krwią płynące i inne tego rodzaju zjawiska znajdują najdoskonalsze potwierdzenie swej istności, lecz jednocześnie wyjaśniają się w sposób jaknajnaturalniejszy, bez pomocy nadprzyrodzonych dekoracyj i suflerów. Wobec widnokręgów, odsłanianych przez hypnotyzm, nasz rodzimy *Przegląd katolicki* nie znalazł nic lepszego nad obwieszczenie, iż w tej sprawie kręcą się szatani... A jednak, mimo zainteresowania, wznieconego przez tę nową sferę badań, piśmiennictwo nasze posiadało dotychczas zaledwie jedną poważniejszą pracę K. Sosnowskiego. Obecnie przybyła druga, napisana przez specyalistę fizyologa, prof. Cybulskiego *). Jest to treściwe zestawienie dotychczasowych rezultatów, powiększone przez własne spostrzeżenia autora.

Dla dr. Cybulskiego stan hypnotyczny przedstawia objaw patologiczny, który można wywołać jedynie u dotkniętych jakąkolwiek nerwicą; w tym względzie różni się od wielu, zwłaszcza francuskich badaczów, mniemających, że uśpienie można wywołać u osób najzdrowszych i że stan hypnotyczny mało lub niewiele ma do czynienia z patologią. Korzystając z jego broszury, poruszymy niektóre mniej znane własności hypnotyzmu. Przedewszystkiem chcielibyśmy zwrócić uwagę na ostrożność, której wymagają odnośne badania we względzie snucia wniosków. Mianowicie hypnotyk jest w najwyższym stopniu wrażliwy na poddawanie dowolne lub mimowolne usypiacza; zależność różnych czynności i stanów fizyologicznych od wyobrażeń u pierwszego jest tak wielką, że utrudnia niezmiernie zbadanie uśpienia hypnotycznego. Nigdy prawie nie można być pewnym, czy jakieś obserwowane zjawisko nie jest skutkiem mimowolnego poddania. Wskażemy kilka przykładów. Niektórzy badacze podali szereg doświadczeń, w których magnes wywoływał u hypnotyków przenoszenie się skurczów, porażeń, znieczuleń, halucynacyj węchu, słuchu, wzroku, smaku itd. z jednej połowy ciała na drugą. Inni znaleźli, że naciskanie ręką tych lub owych okolic czaszki wywołuje porażenie części mózgu, leżących pod miejscem ucisku. W ten sposób naciskaniem w prawej lub lewej okolicy czołowej sprawiano porażenie górnych lub dolnych odnóg, jak gdyby wskutek porażenia ośrodków psychomotorycznych. Naciskając zaś w okolicy lewego dolnego zwoju czołowego, otrzymamy afazyę. Na zasadzie tych spostrzeżeń wysnuto rożne wnioski. A tymczasem wszystkie te rezultaty, których liczbę moglibyśmy podwoić i nawet potroić, okazują się zupełnie błędnymi. Rzecz cała w tem, że hypnotyzer przystępował do doświadczeń z chęcią otrzymania wiadomych wyników i swem zachowaniem poddawał mimowolnie uśpionemu te lub inne stany. Można powiedzieć, iż uczeni hypnotyzerowie, doświadczając na osobach bardzo czułych, zaszczepiają im swoje teorye, wiadomości, obawy i nawet przypuszczenia, a w ten sposób podziwiają samych siebie, sądząc, że czynią odkrycia. Jedynie pierwsze objawy i to tylko u osób, które nigdy nie słyszały o zjawiskach hypnotycznych, można uważać za stany, właściwe obserwowanej indywidualności; następne zaś wszystkie mogą być poddane i zależeć od najrozmaitszych innych wpływów. Chcąc zbadać zmiany cielesne i umysłowe czynności w stanie hypnotycznym, a także zmiany tychże czynności wskutek rozmaitych oddziaływań zewnętrznych, musimy zawsze mieć na względzie przytoczone wyżej fakty. Tem to wyjaśnia się ogromna moc sprzeczności, napotykanych u różnych autorów co do opisu stanów hypnotycznych.

Właściwa przyczyna, wywołująca stan hypnotyczny, nie leży zewnątrz organizmu i nie spoczywa w rozmaitych podnietach zewnętrznych, lecz zawiera się w samym organizmie i pochodzi ze skupienia uwagi na pewnem wyobrażeniu; dostatnie znaczenie wpływów zewnętrznych ogranicza się tylko do tego, iż pomagają do podtrzymania uwagi hypnotyka na jakiemś jednem pojęciu — najlepszym dowodem, przemawiającym za prawdziwością tego poglądu, jest zdolność samousypiania bez zaglębienia się w jakiejś myśli. Stan hypnotyczny jest skutkiem pewnych, nieznanych bliżej zaburzeń w czynnościach mózgowych osoby uśpionej, wola i świadomość są zawieszone, hypnotyk staje się automatem, oddziaływającym na wpływy z pewną dokładnością, lecz noszącą na sobie piętno odruchów psychicznych. Właściwie ów stan nie przedstawia ani jednego zjawiska, któregobyśmy nie mogli zauważyć bez hypnotyzmu przy rozmaitych innych warunkach, a nawet w stanie prawidłowym. Uczyniono spostrzeżenie, że u wielu całkiem zdrowych jednostek, wobec najdoskonalszej świadomości, przez poddawanie dadzą się wywołać pewne wyobrażenia i odpowiednie im ruchy. Jeżeli np. w oczach kilku osób nalewasz wody do szklanki, z przekonaniem powiadasz, że woda zamieniła się w ocet i prosisz o skosztowanie, to chociaż wszyscy kosztujący oświadczą, że nie jest kwaśną, niektóre jednak przyjmą taki wyraz twarzy, jakoby piły ocet. Carpenter wspomina o pewnym prokuratorze, który podczas wydobycia zwłok dziecka, pochowanego przed parą tygodniami, bardzo się niepokoił, iż trup będzie cuchnął; gdy wydobyto trumnę, jeszcze przed odkryciem wieka, poczuł bardzo nieprzyjemny zapach, tak, iż zemdlał— okazało się wszakże, że trumna była pusta. Podobnież, w stanie normalnym lub chorobliwym, możemy wyśledzić i inne objawy, właściwe stanowi hypnotycznemu — czy to podniecenie wrażliwości i nadczułość, czy zdolność do poddawania się urojonym ideom, przyjmowania poleconych sposobów zachowania się itd. Na podstawie tego można twierdzić, że stan hypnotyczny nie jest stanem *sui generis*, lecz że nauka ma tu sprawę z pewną nieprawidłowością, z pewnem naruszeniem stosunków w czynnościach mózgowych, które całkowicie lub częściowo może powstać w następstwie najrozmaitszych innych przyczyn. Dzięki temu, z niejakiem prawdopodobieństwem możemy wskazać źródło owego zjawiska. Zawiera się ono w tem, że wskutek skupienia uwagi na pewnem wyobrażeniu lub podniecie zatamowaną zostaje czynność innych ośrodków kory mózgowej, otrzymywane więc wrażenia nie dochodzą do świadomości. Wreszcie hypnotyk zasypia i wtedy porażenie dotyka wszystkie ośrodki, przyjmujące udział w czynnościach świadomych. Różnica od zwykłego snu polega na tem, że w tym ostatnim zasypia cały układ nerwowy, z wyjątkiem nielicznych grup ośrodków, których praca jest niezbędną do podtrzymania pewnych czynności fizyologicznych; w uśpieniu zaś hypnotycznem zatamowane są jedynie ośrodki, przyjmujące udział w działalności świadomej.

Na zakończenie musimy, wraz z prof. Cybulskim, podnieść kilka pytań praktycznych. Utrata świadomości wprowadza hypnotyka najzupełniej w zależność od hypnotyzera i może go uczynić ofiarą najrozmaitszych niemoralnych popędów ze strony tego ostatniego, jak dowiodły liczne przykłady. W stanie hypnotycznym można wymódz różne obietnice na piśmie, podpisanie weksli itd.; co więcej, można poddać pewne czynności na dłuższe terminy z zatarciem swego współudziału (zabójstwa, kradzieże, składanie fałszywych świadectw). Z drugiej strony, niezależnie od poddawania, częste usypianie wywołuje objawy patologiczne. Osoby, wskutek ciągłe powtarzanego ćwiczenia, do tego dochodzą, iż wpadają w bezwładność hypnotyczną przy każdem zamknięciu powiek, lub tak tracą samodzielność, iż myśl każda, wypowiedziana przez kogokolwiek, staje się dla nich jakby poddaną i wywołuje albo odpowiednie halucynacye, albo służy za podnietę do stosownych postępków. Pozostają one wciąż jak gdyby na granicy pomiędzy życiem świadomem a nieświadomem. „Hypnotyzm musimy uważać za środek więcej niebezpieczny, niż chloroform, alkohol i inne jady; jeżeli istnieją przepisy i kary, ograniczające stosowanie tych leków, tem bardziej muszą

---

*) Dr. Cybulski: *O hypnotyzmie ze stanowiska fizyologicznego.* Kraków, 1887.

istnieć ograniczenia hypnotyzowania. Hypnotyzm nie powinien być przedmiotem salonowych zabaw lub środkiem zarobku w ręku rozmaitych szarlatanów i magnetyzerów." Z tego powodu autor występuje przeciw nadziejom, pokładanym w hypnotyzmie, jako środku pedagogicznym. Wynika to z zapatrywania się na poddawania terminowe. Twierdzi on, rozmijając się w tym punkcie z wieloma innymi badaczami, że przez cały przeciąg czasu, aż do nastąpienia terminu, osoba znajduje się w nienormalnym stanie, który rozmaicie może się przedstawiać, stosownie do indywidualności. Przypuśćmy teraz, powiada, że dziecko, wskutek rozkazu hypnotycznego, będzie się pilnie uczyło; ale w zdobywaniu wiedzy o ile ona odbywa się dzięki rozkazowi, świadome czynności mózgu nie będą brały należytego udziału, a ponieważ cały wynikły stan można uważać za somnambuliczny, nabyte wiadomości mogą okazać się po za obrębem świadomości. „Pod tym względem mamy pewne podstawy twierdzić, że nawet doświadczeń tej kategoryi wykonywać nie należy". Autor patrzy podobnież na znaczenie lecznicze hypnotyzmu; jego zachowanie się jest bardzo dalekie od fanatycznego uniesienia, z którem Bernheim spogląda na przyszłość hypnotyzmu dla terapii. Jak za pomocą poddania można wywołać w pewnych miejscach nieistniejące swędzenie, tak samo dadzą się usunąć ze świadomości niektóre bóle i cierpienia. Lecz w obu przypadkach hypnotyk nie będzie znajdował się w stanie prawidłowym, ale w częściowym somnambulizmie. Sprawa chorobowa będzie przebiegała swoją koleją, tylko nie będzie odczuwaną. W każdym razie przyznaje wpływy lecznicze poddawania względem t. z. chorób funkcyonalnych.

Wogóle, w swych poglądach na hypnotyzm prof. Cybulski stoi bliżej niemieckich badaczów. Nie przyjmuje on rozróżnień bezwładności hypnotycznej na letargiczną, kataleptyczną i somnambuliczną, uważając je za skutek poddania, i w ten sposób przystaje do szkoły z Nancy. Przypisuje wielkie znaczenie hypnotyzmowi, jako metodzie badania zjawisk psychicznych.

L.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XVII.

Rozszczepienie jaźni na kilka stanów świadomości.— Doświadczenia Paulhana. — Prozaiczny użytek z poezyi. — Niektóre prawa gromadzenia naraz kilku czynności duchowych. — Korespondencya Hegla. — Wiązanka wspomnień o nim.

Nie będzie to nowy poczęstunek hypnotyzmem; tych, którym się on przejadł trochę, niechaj nie zrażają tajemnicze nagłówki. Nie będzie to również odgłos wielkiego jakiegoś odkrycia w psychologii, lecz po prostu streszczenie wywodów i prób, poczynionych przez znanego już nam Paulhana, na poparcie dosyć starego mniemania. Bo nie od dziś datuje się i kołacze po książkach myśl, że nasze „ja" nie jest jednolitem, lecz złożonem z całego szeregu przejść wewnętrznych, ściśle zespolonych ze sobą w czasie. Z ogniw pojedynczych tworzy się łańcuch nierozerwalny i świadomość ciągła, na pozór tylko zawsze z sobą identyczna. Mniej posłuchu znajdowało przypuszczenie, że i każdy z owych rozdzielnych momentów psychicznych dałby się rozłożyć na części składowe, że, jeśli tak rzec można, nietylko w czasie ale i w przestrzeni nasze „ja" stanowi dopiero sumę kilku stanów, wypadkową, której czynniki można dowolnie, choć tylko do pewnych granic mnożyć. Przywykliśmy każdy akt woli, uczucia, myśli uważać za wypełniający całkowicie tak zwaną duszę naszą, wziętą w danej chwili, i niezdolny do kojarzenia się z innym, a cóż dopiero innymi aktami.

Jednakże dawniej już dowodził Spencer, że pojedyncze stany są to jedynie serye procesów. Inaczej dowodzi Wundt i wsparty na nim Ribot. Paulhan zaś podejmuje się okazać czarno na białem, że ma słuszność myśliciel angielski, i w tym celu przedsiębierze cykl doświadczeń na sobie samym. Jest to bowiem dziedzina, w której niepodobna czynić spostrzeżeń na kim innym, prócz siebie samego.

Badanie eksperymentalne byłoby jednak przedwczesnem, gdyby nie zachęcały do niego pewne fakta i prawdy, widoczne z góry. Wiadomo, że wiele wrażeń, będących codziennym naszym udziałem, jest natury złożonej. Śpiew chóralny lub muzyka orkiestrowa wywołują efekt bezwarunkowo złożony, tutaj bowiem wytwarza go więcej niż jeden głos, tam więcej niż jeden instrument. Gdy piszesz, masz przed sobą biały papier, czarny atrament, prawdopodobnie i różową bibułę i widzisz to wszystko jednocześnie, a zatem wrażenia wzroku również mogą się łączyć i zgodnie przychodzić do skutku. Gotóweś odpowiedzieć, że nie w jednakowym stopniu przenikają do twej świadomości— zapewne, ale to już rzecz całkiem odrębna, to rzecz samowiedzy lub krócej wiedzy. Ją warunkuje daleko więcej czynników duchowych, ona wymaga daleko większej pracy psychicznej, przeto nie wszystkim równoległym stanom może towarzyszyć. Stąd jedne są niewyraźne, jak gdyby pół świadome, a inne i tych o wiele mniej, lepiej podznaczone, główne. Stany podniesione do samowiedzy, trudniej chodzą w parze, bo każdy z nich wprowadza w ruch nie nerw jeden lub organ, lecz cały system pojawów duchowych; jednakże zdarzają się i ich połączenia i te świadczą już o rozdwojeniu lub, ściślej mówiąc, rozstrzeleniu jaźni, w sposób o wiele jaskrawszy i bardziej przekonywający. Bo wówczas, nie drobne wrażenia, np. liter jednego wyrazu, lub członków jednego ciała gromadzą się, ale całe, odrębnych przedmiotów dotyczące kombinacye obrazów, idej, uczuć i zachceń. Że u osobników chorobliwie nastrojonych bywają tak dziwne rozszczepienia jak np. rachowanie ręką lewą i malowanie jednocześnie prawą, przekonali się już Taine, Richet i inni. Chodzi o to, o ile są możliwe u jednostek normalnych.

Takie to względy *à priori* upoważniają do szczegółowszych doświadczeń. Psycholog francuski użył w tym celu poezyi i... arytmetyki. Wybierał naprzód dwa z dobrze zapamiętanych urywków wierszowanych i wypisywał jeden na papierze, zmuszając się jednocześnie do recytowania drugiego na głos. Albo też jeden z nich odczytywał głośno, tak, by ucho mogło go kontrolować, drugi zaś myślowo, wedle pospolitego wyrażenia „w duchu." W obudwu wypadkach ma się niewątpliwie do czynienia z procesami całkiem odmiennymi, wymagającymi każdy dla siebie osobnej przytomności — a jednak zestawienie ich w jednym i tym samym czasie udawało się zupełnie. Co prawda zdarzały się przytem rozmaite, ciekawe zresztą karambole. Bywało, że wyraz wiersza wypowiadanego głośno wkradał się ni stąd ni zowąd do urywka pisanego i na odwrót; bywało także, że gdy zbiegały się jednakowe dźwięki, rozpoczynające dwa różne słowa, wnet pociągały za sobą tożsamość reszty liter i tym sposobem oba urywki miały po jednem wspólnem wyrażeniu, lub jego części. Gdy wypisywanie zastąpione zostało wyobrażeniem wiersza w pamięci, zwykle ten ostatni prześcigał swego towarzysza recytowanego donośnie, tak, że na dwa powtórzone w duchu, przypadał jeden recytowany. Przy wysiłku zachowania jednakowego tempa przewaga szybkości w inny sposób się ujawniała. Oto ze strof np. czterowierszowych, odczytywanych na głos, znikały niektóre rymy, pierwszy i trzeci, lub drugi i czwarty, co niekiedy równało się ocaleniu samych męzkich lub samych żeńskich. Reszta nie docierała do organu mowy, pozostając w sferze myślowej na podobieństwo drugiego urywka.

Jeszcze wydatniej rysuje się rozbieżność czynności duchowych, gdy odczytywaniu wiedzy towarzyszy, dajmy na to, rachunek arytmetyczny: dodawanie, mnożenie, lub inne jakiekolwiek działanie. Wtedy uwaga bywa silniej naprężoną, tem silniej, im cyfry są większe, a robota z niemi bardziej zawiła. Podczas mnożenia, np. trzeba było iloczyn odczytywać w duchu; przy odejmowaniu sam widok cyfr wystarczał do wydobycia z pod pióra różnicy.

Możność tedy rozszczepiania uwagi jest faktem. Warto zaznaczyć pewne jego cechy, a przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie, które ci się zapewne tutaj nastręcza: czy jest jaka oszczędność czasu przy kojarzeniu czynności psychicznych? Nie chodzi o ekonomię, bo i najbardziej wyrachowany yankes nie chciałby chyba zbijać majątku z sekund i teoryj — ale o zaspokojenie czysto naukowej ciekawości. Otóż wyniki w tej mierze są najrozmaitsze. Gdzieniegdzie wskazują pewien zysk na czasie, gdzieindziej znowu stratę, albo różnicę nader nieznaczną i mało pochwytną. Dla dokładności wymiaru najlepiej użyć do podobnych doświadczeń samych działań arytmetycznych; one bowiem wymagają dosyć ustalonej normy czasu, wahającej się tylko od jednostki do jednostki stosownie do stopnia wprawy, ale prawie niezmiennej dla każdego człowieka zosobna; podczas gdy szybkość odczytywania czegoś nie jest ograniczona żadnem maximum lub minimum i bardziej zależy od woli. Pomimo to Paulhan brał i połączenia cytat z rachunkami. W wypadkach, gdy cyfry były większe, zbliżone już do dziesięciu, manipulacya trwała dłużej, gdy zaś mniejsze — krócej niż obie czynności, dokonane zosobna.

Ale oto innego rodzaju eksperyment. Lewa ręka mnoży jeden szereg cyfr, prawa — drugi. Strata czasu była widoczna. Przy powtórzeniu tych samych działań, a zatem i większej łatwości, malała ona bardzo.

Innych przykładów podawać nie będę. Paulhan wyciągnął z nich wniosek ogólny, że kojarzenie czynności różnorodnych zabiera mniej czasu, niż łączenie jednorodnych, co też objaśnia silniejszem dążeniem podobnych do zlewania się w jedno i wzajemnego przeszkadzania sobie.

Wreszcie próbował on działalność umysłu *roztrajać*, a zatem wprowadzać w ruch aż trzy „systemy psychiczne." Jedną ręką wypisywał szereg cyfr, drugą wiersz, a zarazem odczytywał inny. Wzajemnych niedelikatności i ogólnego zamętu nie brakło. Zważ jednak, że i przy tamtych doświadczeniach, bardzo pomyślnych przecie, na pozór tylko wchodziły w grę dwa stany, a w gruncie rzeczy trzy, cztery i pięć. Potrzeba było dozorować siebie samego, pamiętać chwilę rozpoczęcia manipulacyi i przygotować się do zakończenia jej itp. Jeżeli wszystko szło zgodnie — dowód to niezbity, że świadomość zdolną jest do rozbiegania się w kilku kierunkach naraz.

Tu raz jeszcze podkreślić wypada, że cząstki uwagi i przytomności, przypadające na każdy z jednoczesnych aktów psychicznych, nie mogą być jednakie. Zazwyczaj jeden z nich tylko przenika do samowiedzy, porusza odpowiednie narządy czuciowo-ruchowe, ogarnia ustrój cały i wydobywa się na zewnątrz aktem woli, a następnie i przystosowaniem do niego działalności. Reszta skupia się dokoła niego w stanie pół-uśpienia, nie przechodzi w czyn, ale mimo to istnieje. Maszynista zajęty myślami może *widzieć* sygnał pociągu idącego ze strony przeciwnej, a jednak nie przyjąć go do świadomości. Tak zwane „zaabsorbowanie," to tylko przewaga jednej czynności umysłowej nad innemi — ale bynajmniej nie jej *wyłączność*. Często też dwie z nich staczają

walkę o uwagę i kolejno ją osiągają. Gdy pasujesz się z sobą, czy wyjść na spacer, czy pracować dalej przy biurku—prócz wielu innych procesów, działają w tobie dwa wybitniejsze. To majaczeje w wyobraźni widok ogrodu, tłumu ludzi, zapach kwiatów, miłe uczucie rozprostowania zmęczonych kości i mięśni itd., to z żalem spoglądasz na rozłożony papier i przygotowane pióro, z przykrością dumasz o przerwanem pasmie szczęśliwych argumentów itd. Kiedy czytam stronicę dziennika, oko moje widzi kilka tysięcy liter, kilkaset wyrazów, kilkadziesiąt zdań; umysł jednak zatrzymuje się na jednem tylko i kolejno na następne przechodzi.

Okoliczność, że dokoła czynności duchowej, szczególnie zaakcentowanej, gromadzi się orszak innych przeważnie tylko wrażeń zmysłowych, ma znaczenie wielkie. Zamienia ona pewnik o rozszczepialności ducha na zasadę znacznie ogólniejszą: że w każdej niemal chwili świadomość nasza składa się z kilku oddzielnych stanów, które cisną się do jaźni, do owego niezbadanego centra i w niem się jednoczą, ale pomimo to nie zatracają charakteru swej względnej samoistności. Obie tezy są z sobą ściśle połączone.

Zanim rozstanę się z Paulhanem, dwom obowiązkom uczynić muszę zadość. Dla wierności sprawozdawczej napomknąć, że przeprasza on poetów — Wiktora Hugo, Leconte de Lisle'a, Musseta — za użytek, jaki zrobił z ich natchnionych utworów, ale dodaje natychmiast z iście francuską galanteryą, że nie byłby do tego zdolnym, gdyby nie umiał ich na pamięć, a zatem przedtem wielokrotnie nie odczytywał...

Powtóre radzę ci czytelniku, na wszelki wypadek nie zapominać, iż wzmiankowani już Wundt i Ribot wierzą tylko w nader szybkie następowanie po sobie aktów psychicznych — a nie w ich jednoczesność. Takich przeciwników dobrze jest mieć na względzie, zanim teorya Paulhana znajdzie potwierdzenie w doświadczeniach innych psychologów, których usilnie do przedsięwzięcia ich zachęca.

Mniej ponętnymi od pracy pożegnanej są dwa sążniste tomy listów Hegla, zebrane i ogłoszone przez młodszego jego syna Karola, znanego dziejopisa z Erlangen. Najcięższy z filozofów w wykładach, nie lżejszym jest w prywatnej swej korespondencyi i wątpię, czy znajdzie się wielu chętnych do wertowania jej. Kilka przecież szczegółów zasługuje na przytoczenie, albowiem jedne z nich są zabawne, inne charakterystyczne dla filozofa, którego życie ilustrują, i epoki, w której działał.

W zaraniu swej karyery pisarskiej Hegel nie opływał bynajmniej w dostatki. Najpierw przyuczał się do ascetyzmu na stanowisku prywatnego docenta w Jenie, które wraz z przywiązaną do niego pensyą 100 talarów zawdzięczał wysokiej protekcyi Goethego. Później utrzymywała go w szlachetnej wstrzemięźliwości *Gazeta bydgoska*, którą redagował za 540 złr. Rola dziennikarza nie zupełnie przypadała mu do smaku; skarżył się na nią w listach do Schellinga i pocieszał myślą, że jest przynajmniej uczciwą. Stopniowo niezadowolenie przeszło w uczucie spokoju, a nawet pewną wdzięczność losowi za częściowe chociażby zapewnienie bytu, nie na tyle kosztowne, by mu przeszkadzało zajmować się ukochaną nauką. Wykształcił się umysł praktyczny tak dalece, iż twórca „Phenomenologii“ zlorzeczył pokojowi zawartemu w Tylży w r. 1807 za to, iż pozbawił go sensacyjnych wiadomości z pola wojny, a więc tak wybornego materyału do zapełniania szpalt dziennika: „Przeklęty rozejm — pisze — zapcha mi może jeden numer, ale cóż—kiedy rok jest długi!“ W owym też okresie spuścił Hegel z indywidualnego swego tonu i zaczął przebąkiwać o bliższem zespoleniu się z machiną państwową, w tych naprzykład słowach: „Ponętną jest rzeczą odosobniona niezawisłość, każdy jednak powinien trzymać się za ręce z państwem i dla niego pracować; rozkosze życia prywatnego są zwodnicze i niewystarczające.“ Tu już więc przycierać się zaczęły rogi obywatelskie, a kark zniżać do podnóżka tronu. Ale jeszcze nie tronu niemieckiego, bo nad wszelkiemi dla niego sympatyami górowała cześć dla bohatera wieku — Napoleona. Wielbił w nim jednak nie heroizm i zalety rycerza, nie to, co zawracało głowy wszystkim ówczesnym poetom, ale siłę rządzącą, podbojową. I tak jak Heine, jeszcze pauper na ulicach Düsseldorfu, patrzył na Bonapartego, z włosami zjeżonymi zachwytem i podziwem, tak on w Jenie „szczególnego doznawał wrażenia,“ spoglądając na „duszę świata,“ która przybyła do miasta na rekonesans. Atoli w sercu, które miało w przyszłości zamknąć się dla wszelkich zapałów humanitarnych — tliła się jeszcze życzliwość dla jednostki ludzkiej, albowiem zapowiadał książętom niemieckim, że ich Napoleon nauczy, co to jest t. z. „wolna monarchia.“ W wypadkach jenajskich widział jutrzenkę tego, co sam później pragnął wykorzenić — i z dumą powtarzał, że wielkie dzieło swoje (Phenomenologię) dociągał do końca tej samej nocy, kiedy mały kapral umocnił potęgę swą w Niemczech. Podobno później było mu nieraźno z tym „zbiegiem okoliczności“ i... odwoływał go.

Robon Dion.

W SPRAWIE JĘZYKA
międzynarodowego.

II.

Jeżeli po tym krótkim przeglądzie wad volapüku, przejdziemy z kolei do języka d-ra Esperanto, to okaże się, że pierwszy ma wszystkie nieuniknione braki drugiego, nie posiadając wielu jego zalet. Zzadziwiającym sprytem i z niezwykłą praktycznością rozwiązuje on trudności, zaznaczone przez nas na wstępie. Niektóre rzeczy są tu tak proste, że niezastanawiający się czytelnik nie zrozumie wcale ich doniosłości, nie odgadnie, że zapewnie nie mało trudu kosztowało odnalezienie ich. Wiele pod tym względem nauczę mógłby porównawczy rzutoka na przeszłość idei porozumiewania się wszystkich narodów. Dla ogółu układanie słów i gramatyki w tym celu jest zadaniem prostem; ogół nie wie, że był ktoś, co krzyżykami, kropkami, kółkami, przecinkami, całym szeregiem rysunków, chciał wyrazić wszystkie pojęcia i formy gramatyczne; że ktoś inny niedawno jeszcze, bo w 1863 r. zastosował do języka system nut z mnóstwem zawiłych dopełnień; że przed laty wrzawy narobił projekt wydrukowania słowników wszystkich języków z odpowiedniemi cyframi przy jednoznacznych wyrazach.. Wszystkie te próby, zyskawszy pewną ilość zwolenników, upadały; nie odpowiedziały potrzebie, nie były to języki, ale symboliczne znaki. Volapük Schleyera pierwszy okazał wewnętrzną żywotność; chwycono się go, bo potrzebny, a lepszego dotąd nie było. Lecz oto występuje do walki język d-ra Esperanto, łatwy, prosty. Pooddzielać źródłosłowy od przyrostków, przybranek i końcówek—powiadają—tomi wielka myśl! a jednak to, że tak powiem, uwłasnowolnienie gramatycznych elementów nadanie im jednostajnego znaczenia i umieszczenie ich w słowniku, przeprowadzone niezmiennie i logicznie, jako charakterystyczna cecha języka — jest czemś nie mającem nic podobnego w językach indo-aryjskich *). A to coś czyni właśnie język d-ra Esperanto istotnie międzynarodowym; każdy mając odpowiedni słowniczek, odcyfruje to co do niego napisano w nowym języku, jeżeli tylko zna łaciński alfabet, własną gramatykę i potrafi logicznie myśleć. Ustrój ten, pomimo swojej oryginalności, nie razi, nie sprzeciwia się naturze, naśladuje to, co w gramatykach jest najlepszego, wyklucza wszelkie nieprawidłowości i pozwala zaprowadzić ogromną ekonomię w części słownikowej.

Posiadając 900 źródłosłowów na mocy jasno określonych prawideł można stworzyć nawet przy słabych zdolnościach kombinacyjnych parę tysięcy wyrazów. Co się tyczy samych źródłosłowów, to są one częstokroć brane w prost z języków romańskich; autor nie przekręca ich, jak to uczynił Schleyer. To też wyrazy nie przedstawiają zgoła żadnych trudności dla średnio wykształconego człowieka, znającego nieco język francuski, niemiecki, angielski lub włoski *). Będzie on po paru kwandransach czytał „lingvo internacia“ bez zająknienia: wszystko tu stare, znajome, naturalne. Lada wychowaniec klasycznego gimnazyum dzięki znajomości łaciny posiądzie język ten w krótkim czasie. Słownictwu d-ra Esperanto możnaby postawić cztery zarzuty: 1) pozostawia on formowanie słów samowoli narodów; każdy naród tedy tworząc wyrazy na wzór swojego języka, może wynaleźć inny dla oznaczenia danego pojęcia: stąd nieporozumienie. Lecz to niebezpieczeństwo zażegnanem być może przez wydanie jednego słownika, a posiada ono tę dobrą stronę, że czyni język ruchomym, pozwala mu się wzbogacać. Każdy naród może uczestniczyć w tej pracy i rzuca w nią to, co ma najlepszego.

(D. n.).

L. B.

*) Coś podobnego możnaby wyśledzić jedynie w volapüku, ale nie tak szeroko i logicznie przeprowadzone (e, i — oznaczają coś innego z początku i w końcu słowa), oraz w językach turańskich (aglutynacyjnych).

*) Z polskiego wzięto kilka słów.

LITERATURA I SZTUKA.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Władysław Bentkowski.

W Poznańskiem daleko więcej ludzi znakomitych umiera, niż się rodzi. Los dziwnie tam dopomaga ręce niemieckiej, pracującej nad zagładą narodowości polskiej. Dnia 2 b. m. zmarł jeden z najzasłużeńszych obywateli tej krainy. Syn znanego w literaturze Feliksa, Władysław Bentkowski, urodził się w Warszawie 1817 r. Ukończywszy tu gimnazyum a uniwersytet w Królewcu (wydział prawa), przez jakiś czas urzędował w Prokuratoryi Królestwa, przesiedlił się do Prus i zamarzył o służbie wojskowej a nawet ukończył akademię wojenną w Berlinie. Powstanie z r. 1849 wciągnęło go do armii węgierskiej (jego pamiętniki drukował *Kraj*). Wróciwszy do Prus, musiał odsiedzieć za tę winę więzienie. Uwolniony (1851) objął redakcyę *Gońca wielkopolskiego* i jednocześnie rozpoczął działalność poselską, w której ujawnił dużą energię i prawość charakteru. Sterawszy siły, ograniczył się do pracy w Towarzystwie przyjaciół (jako prezes wydziału historycznego) i w administracyi fabryki Cegielskich, z którymi łączyła go ścisła i długa przyjaźń.

Oprócz rozprawy (łacińskiej) o sejmach za Jagielonów, zasłużył on się wielce podniesieniem i udowodnieniem świadomego fałszerstwa, dokonywanego przez władze pruskie na szkodę języka polskiego. W przedmiocie tym ogłosił osobną broszurę p. t. „Sprawa polszczyzny w urzędowych ogłoszeniach W. Ks. Poznańskiego pod sąd filologów oddana“ (1858). Jemu również zawdzięczamy początkowanie w przekładzie *Dziejów Anglii* Macaulaya, których dwa pierwsze tomy przetłomaczył i które potem ukończono pod kierunkiem prof. Pawińskiego. Nakoniec wydał *Poezye* Antoniego Czajkowskiego.

Położył się do grobu z rzetelnem świadectwem zacnego obywatela a szczery żal ziomków ozdobił jego mogiłę wieńcem.

K.

Józef Kasznica.

Jest to zdarzenie szczególne, że obliczając nad grobem zasługi profesora dwu uniwersytetów i działacza publicznego, musimy więcej mówić o człowieku, niż o uczonym, więcej na podstawie objaśnień prywatnych, niż dowodów publicznych. Kasznica bowiem napisał zaledwie wiązankę artykułów (w znacznej części osobno odbitych), które nie tyle były przyczynkami naukowymi, ile komentarzami pojęć i wyrazów. Nawet jego rozprawa doktorska stanowiła wykład „zdań wszystkich gałęzi umiejętności państwowych i społecznych“; za nią poszły artykuły: „o pojęciu i systemie nauk społecznych,“ „o stosunku prawoznawstwa do innych nauk,“ „o wyrazie socyologia“ itp. Nie w literaturze zatem spoczął punkt ciężkości zasług nieboszczyka. Jako profesor encyklopedyi prawa i prawa kanonicznego (w Warszawie i Lwowie) pobudzał on młodzież uniwersytecką do myślenia i pracy, a jako dziekan — miał dla niej zawsze dobrą wolę i życzliwość czynami stwierdzoną. Był to człowiek uczciwy, charakter wypróbowany, serce zawsze ciepłe i do ogrzania innych gotowe. Te przymioty tak wielką zjednały mu sympatyę i szacunek, że zastępowały w znacznej mierze brak tytułów sławy naukowej. Nagła, a przynajmniej przedwczesna (liczył zaledwie lat 54) i niespodziewana śmierć, odbiła się w społeczeństwie głębokim smutkiem. Dorzućmy i z naszej strony słowa szczerego żalu. Zwłoki, pochowane tymczasem we Lwowie, mają być przewiezione do Warszawy.

M.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wspomnienie. — Mozart czy Mocarz. — Najcudowniejszy słowik. — Gdybym budował arkę lub pisał Koran. — Setna rocznica wystawienia *Don Juana*. — Ranzoni bez końca. — Jego głębokie spostrzeżenie.— Biblioteka przyrodnicza. — Gdzie podręczniki dla ogółu?—Spółka Zwierzyńca nie rozwiązała się.— Zagadka antisemicka.

Lat temu dziesięć przeszło, pewnego dnia wszedł do mojej izdebki w Lipsku głośny już wówczas lingwista polski, dziś profesor jednego z uniwersytetów ruskich:

— Przynoszę panu — rzekł — dobrą nowinę: prawdopodobnie uda mi się zebrać dowody, że Mozart nie był prawowitym niemcem, lecz pochodził z rodziny słowiańskiej i właściwie powinien się nazywać *Mocarz.*

Była to rzeczywiście nowina dobra. Bo jakkolwiek wtedy jeszcze nie nauczyłem się wstrętu do niemców, czułem już tak bezgraniczne uwielbienie dla tego wielkiego mistrza, że pragnąłem go koniecznie widzieć synem jakiegoś szlachetniejszego narodu i pojąć nie mogłem, skąd ten najcudowniejszy słowik gaju Polihymnii wziął się w dzikim, wilczemi wyciami brzmiącym lesie Germanii. Chyba to był podrzutek, albo dziecię przez nią skradzione innej rodzinie plemiennej — może słowiańskiej.

Omal nie uściskałem szanownego profesora.

Po kilku dniach odwiedza on mnie znowu i jak gdyby z przykrością powiada:

— Myliłem się w domyśle — Mozart jest niemcem.

Ha, trudno! Pozostaje tylko ta pociecha, że niemcy go naprzód nie uznali i pierwszy hołd złożyli mu czesi. Widocznie nie był on duchem z ich ducha, jak odrazu zrozumiany, dziki i krzykliwy Wagner, prawdziwy prusak między muzykami.

Błogosławię tedy dalej naturę za słońce, za wonie, za Grecyę starożytną, za Mozarta, za... Dosyć—dziś o niego mi wyłącznie chodzi, bo w końcu października przypada setna rocznica *Don Żuana.* Straszy mnie w tej chwili myśl, że może niektórzy z czytelników odmiennego nastroju zdmuchiwać będą z wyrazów moich płomień uwielbienia dla tej prześlicznej duszy. Nie gaszę jednak szczerego ognia, który w milionach serc ludzkich dla niej gorzał i gorzeć nie przestanie wtedy jeszcze, kiedy już tylko wichry w kominach i między skałami wyśpiewywać będą melodye Wagnerowskie. Gdyby mi Jehowa kazał zbudować arkę i przed potopem zachować w niej jedną księgę pieśni, wybrałbym dzieła Mozarta. Gdybym pisał Koran i malował rozkosze raju, zapowiedziałbym: cnotliwy spoczywać będzie pod wonnem drzewem, przesiewającem drobniutki deszczyk światła, przy boku pięknego anioła, który przepłynął błotniste morze życia ziemi czysty a na tem drzewie śpiewać mu będzie o miłości upajającej czarowny słowik Mozart.

H. Taine nazwał go największym geniuszem artystycznego świata: nigdy bezwzględnej nie podzieliłem cudzego sądu, bo żadnemu innemu geniuszowi nie zawdzięczam tyle głębokich wrażeń. Wszystkie stolice Europy przygotowują na dzień pamiątkowy wystawę jego najznakomitszego dzieła; ktoś zachęca i nasz teatr do artystycznego obchodu. Olbrzymy chwili, krzykliwi trubadurowie namiętnych zalotów, podrygujący pajace w czapeczkach błazeńskich, wy wszyscy bohaterowie i ulubieńcy tegoczesnej publiczności, twórcy harmonizowanych wrzasków i pijackich śpiewek, którzy zawładnęliście operą, ustąpcie na chwilę sceny wielkiemu Mozartowi. Do was należy teraźniejszość — prawda, ale do niego należy nieśmiertelność. Jeszcze wam z tej teraźniejszości dużo zostanie czasu na rozdzieranie uszu krzykami, na katarynkowe aryc, na narkotyczne walce i swawolne kuplety. Niech nam genialny mistrz zaśpiewa i przypomni, jakich pieśni słuchają wieki.

Pod wieloma względami jesteśmy podobni do kobiet, ale już chyba niczem ich nie przypominamy bardziej, jak nadzwyczajną dbałością o to, co o nas mówią obcy. Nie ma dnia, ażeby prawie wszystkie dzienniki nie przystrajały swego narodu piórkami, które gdzieś tam jakiś ptak zagraniczny w przelocie nam rzucił, albo nie oburzały się na złośliwe jego gwizdnięcie. W poważnych gazetach można czytać artykuły naczelne, poświęcone bzdurnemu frazesowi prasy niemieckiej lub francuskiej. Wszystko tu ma wagę — jak dla kokietki. Mr. Bull, przejeżdżając przez Warszawę, skosztował polskich flaków i pochwalił lub zganił je. Nazajutrz mamy rozprawy o stosunku Anglii do polskich flaków. *Academy* bąknęło, że Zamojscy posiadają bogatą bibliotekę a drukarnia *Kuryera* maszynę parową: natychmiast oznajmiamy tę radosną nowinę narodowi. Gdy doniesiono, że znakomity krytyk wiedeński Ranzoni jedzie na wystawę sztuki do Krakowa, przewidywałem nieskończoną ranzoniadę. Nie omyliłem się a dziś po tygodniowej ulewie powtórzonych zdań sprawozdawcy wiedeńskiego, nie wiem, co znośniejsze: czy nieustanny plusk deszczu jesiennego na dworze, czy takiż sam plusk ranzonizmów w prasie. Od tygodnia przeszło niepodobna otworzyć dziennika, ażeby oczy nie padły na modrujący tytuł: „Ranzoni o sztuce polskiej.“ I gdyby przynajmniej ten najsławniejszy dziś między nami filozof powiedział cóś bardzo mądrego! Bynajmniej. Jedyną uwagą ogólniejszą, na której uwagę zatrzymać warto, jest ta, że my w malarstwie pozostajemy ciągle polakami, że nasza „odrębność staje się często fanatyzmem narodowym,“ że „gorąca miłość ojczyzny paraliżuje swobodę w pojmowaniu przedmiotów ogólnego znaczenia.“ Co w tem twierdzeniu jest nowego i głębokiego? Czyśmy go sami sobie nie wypowiadali? A nadto, czy Ranzoni nie powinien był spostrzeżenia dopełnić uznaniem konieczności owego „fanatyzmu?“ Konieczność ta wprowadziłaby go na pole daleko szerszych rozmyślań, niż artystyczne komentarze do obrazów, a przedewszystkiem wskazałaby mu przyczynę zjawiska nie w charakterze narodu, ale w warunkach jego życia. Z natury polak jest kosmopolitą— wyjąwszy chłopa. Inne warstwy społeczne: arystokracya, mieszczaństwo, kler, itd. wiążą swoje interesy i dążenia z interesami i dążeniami żywiołów pokrewnych za granicą. Które społeczeństwo (stosunkowo) tak chętnie naśladuje przykłady obce, ucieka z kraju, używa cudzoziemskich języków— jak nasze? Jeżeli więc gdziekolwiek odznacza jaskrawo swą narodowość, to tylko ulega moralnemu naciskowi z zewnątrz. Proszę np. być kosmopolitą wobec takiego Bismarka! Zdaje się, że gdyby baran polski znał jego rozporządzenia, błagałby, aby go nie sprzedano do Niemiec i zarznięto w kraju.

„Uważają siebie za ognisko świata“ — mówi Ranzoni. O ironio! My siebie uważamy za ognisko świata! Roiło się tam coś podobnego po głowach naszych w epoce pielgrzymstwa i mesyanizmów, ale te mary pierzchły daleko. Dziś wyglądamy raczej jak gromada ryb z wody na brzeg wyrzuconych, które trzepoczą się, podskakują, chwytają powietrze — a przyrodnik Ranzoni, patrząc na nie, wnioskuje, że chcą—fruwać.

Wszechświat, dogadzając istotnej a dotkliwej potrzebie, zamierzył z pomocą Kasy Mianowskiego, wydać szereg podręczników, stanowiących „Bibliotekę przyrodniczą.“ Poświęcając zaś nowy swój przybytek, redakcya oświadcza „głośno i stanowczo: wykluczamy wszelkie uboczne, wszelkie sekciarskie lub doktrynerskie wycieczki, które z prawdziwą nauką nie mają nic wspólnego. Celem naszym jedynym jest posiew zdrowego ziarna, wolnego od plewy mędrkowania i chorobliwej fantazyi. Nie do nas należy reforma społeczna lub obyczajowa: ona *sama przez się* (!) rodzi się i dojrzewa w społeczeństwach, których umysłowość rozwija się prawidłowo i wszechstronnie.“ Albo to jest uchwała meetingu torysowskiego w naszym parlamencie literackim, albo — nic. Bo co znaczą owe „uboczne, doktrynerskie wycieczki,“ owe „plewy mędrkowania i chorobliwej fantazyi?“ Są to prawdopodobnie wnioski badań przyrodniczych, rozciągnięte do religii, filozofii, socyologii. *Wszechświat* jako rzetelny konserwatysta nie chce rzucać mostów między przyrodoznawstwem a innemi dziedzinami wiedzy. „Nie do nas — powiada — należy reforma społeczna i obyczajowa“ — to jest nie do niego, ale taka rezygnacya nie obowiązuje wielu naturalistów bardzo znakomitych, którzy o tej reformie myślą. Jeżeli zaś *Wszechświat* nas zapewni, że z ich głów sypią się plewy, to jeszcze powinniśmy zbadać, czy on jest najlepszym młynkiem do oddzielania plew od „zdrowego ziarna.“

Szczerze mówiąc, cały ten ślub „głośny i stanowczy“ byłby zbytecznym, gdyby chodziło o podręczniki „abecadła nauki.“ Ale *Wszechświat*, chociaż oddawna o tem „marzył,“ przystąpił do wcielenia swego ideału dość nieprzygotowany. Nie posiada on dotąd bowiem ani jednego „podręcznika“ dla *ogółu*, rozpoczyna zaś swoją Bibliotekę „Krótkim przewodnikiem do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowej.“ Ilu u nas jest ludzi, zajmujących się botaniką mikroskopową? Czy wobec skierowania starań do prac zbyt specyalnych można skarżyć się, że u nas „piszący lub mówiący popularnie przyrodnik, jeśli chce być zrozumianym, musi wykład swój rozpocząć od abecadła nauki, tonąć w powodzi drobiazgo-

wych objaśnień i strzedz się każdego niemal słowa, nieznanego w słowniku zdawkowej, potocznej mowy?“ Naprzód trzeba ogółowi dać do rąk elementarze wiedzy, a potem go upominać, że się nie uczy. Trudno zaś wymagać, żeby on mikroskopował.

Kiedy przeczytałem wiadomość o zwołanem zebraniu uczestników spółki Zwierzyńca, zdjął mnie strach, czy nie będziemy mieli nowego „rozwiązania.“ Wprawdzie w ostatnich tygodniach założono „Klub trzynastki,“ którego członkowie mają urągać przesądowi co do fatalnej cyfry i który wyrównałby ubytek w naszych stowarzyszeniach, ale i Zwierzyniec godzien dłuższego życia, chociażby po to, ażeby kilkuletni kawalerowie i damy mieli gdzie tańczyć i okazywać swe toalety. Na szczęście obawa moja okazała się płonną. Spółka ogrodu zoologicznego nietylko zamierza dalej istnieć, ale nawet kupuje dotychczasowe pomieszczenie, Bagatelę, od p. Kamińskiego. „Dzielni wioślarze,“ którzy dotąd nie rozprzęgli się ani razu, są dla mnie polakami niepojętymi — rzekłbym — wynaturzonymi; ale to mi nie przeszkadza podziwiać współwłaścicieli Zwierzyńca, zwłaszcza że trzymają się gromady, mając mniej przyjemności a więcej kłopotów. Powiem nawet, że oni dokazują większej sztuki, niż pływanie *bąkiem* i *gigiem* pod wodę. Utrzymywać zwierzęta w malutkim kojcu, w kapryśnym klimacie, dla publiczności, która bez zabawy, bez tańców nie rozumie rozrywki, to nieco trudniej, niż urządzać bale w zimie a wycieczki wodne i regaty w lecie. Pp. Kamiński, Anc, Krysiński, Rodzyn, Rosenblum i inni nie traćcie ducha!

Ale, ale: czemu dotąd nie zbadano, jaki interes mają żydzi w tem przedsięwzięciu, przynoszącem straty? Musi w niem tkwić ukryty, im tylko wiadomy zarobek! Prawda apostołowie ewangelii o rozpruwaniu pierzyn?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Sielanka i epilog jej w sądzie. — Oprawca łódzki. — Kto ma prawo modlić się w przybytku pańskim, a kto pod gołem niebem? — Szlachcic wyleczony z kurzej ślepoty. — Powodzenie spółki ziemiańskiej. — Ostatni zajazd na Ukrainie. — Obywatel poleski w opałach.

Ongi, gdy szlachcic tonął, a chudopachołek lub szaraczek wyciągnął go z topieli, uratowany najpierw za znieważenie czupryny kazał sypnąć swemu zbawcy sto batów, a potem wynagrodzić go... pieniężnie. Krnąbrny służka lub kto inny z „niższego stanu,“ nieraz bywał krwawiony, poprostu tylko dla żartu. Któżby wtedy śmiał nazywać takie czyny bezprawiem, tyranią, kiedy za wypróbowanie mocy skóry i sprężystości mięśni, płacono hojnie dukatami? „Pan zacny, wspaniałomyślny, tylko trochę za wiele fantazyi posiada“ — mówił niejeden. I dalej szerzyła się bez przeszkód sława, nieskazitelność magnata. Dziś stosunki nader się zmieniły. Z aureoli obdzierają... sądy. Gdyby nie te instytucye, sielanka w Chełmskiem skończyłaby się spokojnie i rzewnie, jak w wielu nowelkach. Inaczej chciały tegoczesne wyroki. Urocza, jasnowłosa włościanka, Antosia, wpadła w oko młodemu paniczowi Józefowi Kończewskiemu, panu na Brzeźnie. Młodzieniec jeszcze pod ojcowskiemi skrzydłami rozpoczął atak, lecz dziewka przez długi czas była nieugiętą i dopiero po śmierci starego dziedzica przyjęła obowiązki szafarki u spadkobiercy. Panicz korzystał z młodości i sił świeżych, owocem czego było dwoje dzieci. Sielanka na łonie prostej dziewczyny nie wystarczała. Młodzieniec zapragnął „inteligentnej“ towarzyszki, skrępowanej węzłami kościelnymi. Jednocześnie z wprowadzeniem do domu świeżego sprzętu szczebiocącego załatwił się „honorowo“ z rzeczą już niepotrzebną. Matce dwojga dzieci kupił dom i dwie morgi ziemi we wsi Dobryłowie. Nowość prędko znudziła. Dziedzic zatęsknił do przeszłości, więc wyprawiwszy daleko żonę, zaczął odwiedzać Antoninę, która po kilku miesiącach znalazła się w „stanie odmiennym.“ Przerażony tem pan na Brzeźnie, rozkazał swojej kochance opuścić na lat 15 gubernię lubelską, za co jej dał 225 rs. Antonina podpisała zobowiązanie, ale nie znalazłszy nigdzie służby, pozostała na miejscu. P. Kończewski, dowiedziawszy się o tem, przybył sam w nocy do Dobryłowa, wyprowadził oporną do lasu i krzyknął: „bywaj!“ Na to hasło przybiegli dwaj wierni, obnażyli kobietę i bili ją pałkami, aż zemdlała. Po ocuceniu się przeleżała godzinę w lesie, poczem zawlekła się do domu. Wkrótce potem powiła bliźnięta, które żyły tylko dobę, a po kilkotygodniowych cierpieniach sama zmarła. W d. 21 września r. b. sprawę tę rozpatrywał wydział karny sądu okręgowego w Lublinie. Świadkowie i eksperci w zeznaniach zaczęli się chwiać. Jeden tylko lekarz Ulanowski śmiało stwierdził znęcanie się: uderzeń było niespełna 50, bicie trwało około kwadransa. Pomimo gorliwej obrony oskarżonego, Józef Kończewski „po pozbawieniu wszystkich osobistych praw, został skazany na mieszkanie w gub. tobolskiej.

Podobną sprawę do powyższej rozpatrywał niedawno sąd okręgowy w Łodzi. Tutaj już stosunek odmienny. Nie Antonina, lecz Antos Richter, dziesięcioletni malec, otrzymał 60 uderzeń w ciągu godziny. Egzekutorem jest jego chlebodawca, Kunkel, fabrykant powozów. Chłopiec posądzony o kradzież rewolweru, pod uderzeniami nahajki wołał, że umierając nawet nie przyzna się, bo nie winien. Za to zdjęto zeń ubranie i oblewano go zimną wodą, żeby nie zemdlał. Gdy knut się urwał, prowadzono dalej bicie trzciną grubości palca, która się złamała na ciele dziecka. Bezczelny tłomaczył się wobec sądu metodą wychowania, przejętą od rodzica: „byłem także przez ojca karany za przewinienia.“ Pomimo to po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów został skazany na rok do rot aresztanckich. Sala sądowa w Łodzi jest szczupła. Reporter *Dziennika* miejscowego radzi ograniczanie napływu publiczności z powodu zanadto dusznego powietrza. Nie wątpię, że lepiej jest doświadczać wrażeń, oddychając świeżem powietrzem, a potem pisać sprawozdanie z głową nieodurzoną kwasem węglanym. Ależ pomyśl, wybredny sprawozdawco, jaką drogą po wprowadzeniu twego wniosku matki katowanych dzieci dowiedzą się, że po odrzuceniu proponowanych stu rubli za pobicie, można szukać sprawiedliwości?

Rzecz szczególna, iż w Łodzi zawsze przeważają fakty ujemne. Organ miejscowy tłomaczy to „zdziczeniem obyczajów.“ Nie wiem, czy je *oswajał* kto kiedy, ale zdaje mi się, że prawdziwie dzikie obyczaje są daleko łagodniejsze. Wszakże czerwoni i czarni bez różnicy mają prawo składać hołdy swoim bogom. A u Izraela w ziemi obiecanej od pasterza i króla, Jehowa z jednakową łaską przyjmował ofiary całopalenia. Naród ten, najkonserwatywniejszy pod słońcem, zapomina o tradycyi. W synagodze łódzkiej tylko możni mają prawo chwalić Boga. Zebrała się jednej soboty rzesza chałatowa przed świątynią, a gdy nie wpuszczono jej do wnętrza, potłukła szyby. *Lodzerka* bierze w obronę wyznawców Mojżesza w *przyzwoitem* ubraniu i wzbronienie wejścia tłomaczy koniecznością, gdyż długopoli wpuszczeni raz do świątyni, rościli do ławek takie same prawa, jak uprzywilejowani.

Od czasu do czasu błyska praktyczność ziemiańska, choć samochwalcza, lecz godna upowszechnienia. Fakty dowodzą, iż nietylko pozbycie się pachciarza, ale i „ogrodnika-dzierżawcy“ przynosi korzyść właścicielowi. Popiera to obywatel własnoręcznym listem w *Gazecie radomskiej*. Poczciwy Majer, trzyletni dzierżawca, dowodzi jejmości, że powinna być zadowolona i radą, gdy przy urodzaju owocu i pokupie daje jej tysiąc złotych z wymiarem na potrzeby dworu. Ten sam Majer był niegdyś chudopachołkiem, introligatorem, a dziś ma domy i pożycza szlachcie pieniędzy. Rozważył to obywatel i w tym roku zajął się na własną rękę sprzedażą produktów ze swego sadu. Dotychczas, pomimo kosztu utrzymania dwóch stróżów (20 kop. za dzień i 50 za noc), wpłynęło do kasy szlachcica „więcej, niż płacił przez wieki p. Majer.“ Za jabłka zimowe szczęśliwy reformator ma dostać 200 rs. od krewnych b. dzierżawcy, który za cały ogród płacił tylko 150 rs. Oby ten czyn heroiczny w Radomskiem przykładem swym uleczył z kurzej ślepoty innych, podźwignęłoby się mnóstwo sadów opuszczonych lub wyzyskiwanych, a wtedy kto wie, możeby wychowańcy b. szkoły ogrodniczej w Warszawie, mrący z głodu, znaleźli chleb dla siebie...

Dotychczas prawie każda spółka ziemiańska rozpryskiwała się prędzej, niż wieść o jej założeniu kraj obiegła. Wobec tego wybitnie się zaznacza pierwszy półroczny bilans towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu. W niezbyt przyjaznych dla handlu stosunkach wywieziono okowity 398,200 wiader 80-stopniowych. Czysty zysk za pierwsze półrocze wynosi przeszło 12,000 rs. Majątek Towarzystwa w gotowiźnie, ruchomościach, zaliczeniach i papierach procentowych 162,821 rs. Kapitał zakładowy w udziałach w połowie dopiero spłaconych wynosił do 30 czerwca 150,000 rs.

Znużony dusznem i gorączkowem życiem miejskiem, podążam na szerokie stepy ukraińskie, gdzie pogodniejszy widnokrąg. Nie długo się lubuję wspaniałym widokiem błękitu i jarów. I tu się robi duszno, ale z innego powodu. Pod niebem wrześniowem skwar, na słońcu 38°. Nieprzerwany łańcuch wozów, wracających z pola, podnosi tumany lotnego pyłu z czarnej, ciężkiej ziemi, spragnionej deszczu. Nieoderwany od gruntu jestem w obłokach. Nic wokoło nie widzę. Lecz oto powoli ustaje ruch na drogach, słońce półgębkiem wygląda z za jaru. Zdala błyska baszta jakaś biała, do niej przyklejona masa muru w stylu ciężko-włoskim. To rezydencya hrabiowska, patrząca z wysoka na niskie o dachach słomianych domki miasteczka. Jeszcze wyżej patrzał sam dziedzic, gdy był tu panem. Mitra świeżo zdobyta nie pozwalała mu zanadto się pospolitować, więc jeśli oficyalista przybywał w jasne progi, „pan“ zapytywał: „co *figura* życzy?“ Niektórych (starszych urzędem) wielki zaszczyt spotykał, bo im chlebodawca łaskawie mówił: „niech *figura* siada.“ Otoczony zgrają wyzyskiwaczów długopołych, o mało im nie oddał na pastwę ładnego mienia. Dziś po daremnej walce musiał ustąpić z majątku na Ukrainie, a jest dziedzicem w Galicyi, zaś pierwszą posiadłość objęła żona (hrabina z książąt). Tymczasem małżonek, chcąc odzyskać ojcowiznę, rozpoczął batalię na wszystkich punktach zapomocą przeróżnych doradców. Zasypał sądy skargami przeciwko swej połowicy, nadto puścił w Kijowie na kilkaset tysięcy rubli weksli fałszywych na zgubę żony. Gdy wszelkie usiłowania prysły, jął szukać zbawienia w przeszłości. Przypomniał, jak to dzielni przodkowie radzili sobie i rzekł w duchu: „ażaliż nie płynie w żyłach moich krew ta sama?“ Myśl zapomocą doradców w czyn wcielił i korzystając z nieobecności hrabiny w majątku, ruszył z Galicyi na Ukrainę. Zanim sam dojechał, puścił gońców — oliwę na ogień dla potomków hajdamackich. Od chaty do chaty wieść biegła szybko: „jasny pan nasz jedzie! będzie nam ziemię rozdawał!“ Z miasteczka i wsi okolicznych zebrały się depu-

tacye. Jasny podążył najpierw do kościoła, a za nim zgraja żydów. Ksiądz przygotowany zawczasu wystąpił z solennem nabożeństwem, a jego pieniom przy ołtarzu towarzyszył głośny szwargot żargonu żydowskiego. Świątynia dziwny przedstawiała widok napełniona po brzegi tłumem *pobożnych*. Z po za lasu głów przykrytych *jarmułkami*, rzadko gdzie przeglądała twarz *chrześciańska*. I stał się dom boży giełdą, gwar zagłuszał modlitwę kapłana, a nie było Chrystusa, aby wypędził kupczących. W połowie nabożeństwa wyszedł jasny pan, a za nim gwałtownie popłynęła cała fala rudobrodych. Do „rezydencyi" podążył lokaj z rozkazem otwarcia podwoi na przyjęcie hrabiego, ale drzwi były zamknięte. „Łamać drzwi i zamki!" — zawołał w gniewie jasny pan. Wstrzymali go od tego „przyjaciele." Tymczasem godziny upływały, tłumy rosły, a hrabia nie miał jeszcze przytułku. Naraz zawołano: „pan nasz, jasny bat'ko będzie mówił z powozu!" „Ziemię nam będzie rozdawać" — szeptali inni. Zabiły serca setek ludzi, słuch wytężono. Hrabia zaczął przemawiać, że oto biedny tułacz nie-ma sprawiedliwości na świecie, nawet we własnym domu zastał drzwi zamknięte. „Wyłamiem, jasny bat'ko, mamy kleszcze i młoty!" Mowa się skończyła. Hrabia wydobył pięć rubli i wspaniałomyślnie dał zebranym tłumom na „mohorycz." Zapał zgromadzonych ostygł, tu, owdzie ozwały się szemrania, złorzeczenia i śmiechy. Tak nieszczęśliwie skończył się zajazd jasnego pana. Działo się to w końcu dziewiętnastego wieku przed dwoma miesiącami. Oto żywe odtworzenie przeszłości z nadaniem barwy teraźniejszej. Dawniej butna szlachta pod wodzą najzuchwalszego wpadała na dwory sąsiadów, dziś junak dowodzi zebraną na miejscu czernią izraelską i jedna lud obiecankami śmiałemi. Sztuka zupełnie się nie udała, ale niechęć ku dziedziczce, wywołana pod strzechami włościańskiemi, nie prędko się zatrze.

Podole i Ukraina zawiodły mię. Spieszę więc na senne dziewicze Polesie. Wszystko tam spokojne: chłop skrobiący się w rozczochraną czuprynę, jego woły stare, wielkości cielaków ukraińskich i sam właściciel ziemski o twarzy poczciwej, pozwala włościanom przepędzać bydło przez wązką szyjkę swej ziemi na ich pastwisko za... odrobek. Chłopi w milczeniu zgadzają się na to, bo dzieli ich grząskie błoto od miejsca wypasów. Trwałaby ta cisza bez końca, gdyby nie chęć pana N. podwyższenia dni odrobku. Poleszucy cierpliwi przestali się skrobać w głowy, lecz postanowili jednogłośnie pozbyć się ciężaru. Wyszli więc gromadnie na błoto i jęli sypać groblę dla bydła. Wtem zjawia się zafrasowany właściciel.

— Co wy tu robicie, moi kochani?

— Groblę.

— Na co?

— Ażeby waszej, panoczku, łaski nie potrzebować.

Pan N. wpada do bagna i rozciąga się jak długi przed rozpoczętym nasypem.

— Moi braciszkowie, po co wam ten kłopot? Alboż ja wam przez swoje pędzić zabraniam?

— Krzywda nam, panie.

— Nie pozwolę! Żywcem mnie zasypujcie!

— Wyciągajmy pana! I dziedzic w jednej chwili przeniesiony został na stronę. Lecz zerwał się i padł znowu na dawne miejsce.

— Moi wy sokolęta, gołąbki kochane!

— No, chłopcy, dosyć tej *komedzii*; kto za nogi, kto za głowę, do roboty!

— Nie ważcie się mię targać! Do sądu podam!

Na wyraz *sąd* chłopi odstąpili.

— Da co wy podurnieliście, że on sądem straszy? Ruszajcie żywo! — zawołał śmielszy.

Rozpoczęło się szamotanie. Ponad głowami dziedzic błysnął nagiem ciałem. W błocie, jako świadectwo oporu, została dolna część jego ubrania.

— Moi wy sokolęta! Niech tak będzie jak dawniej. Nie pomnożę wam dni roboczych, tylko zaniechajcie sypania grobli! — wołał szlachcic, leżąc.

Po gromadzie przebiegł szmer narady:

— A no, niech już i tak będzie. Widać tobie panie bardzo ciężko, kiedyś aż goliznę nam pokazał.

Od siebie nic potrzebuję nic dodawać do tak pięknego obrazka z Polesia, a ktoby chciał mię posądzić o bujną fantazyę, niech się do mnie prywatnie zgłosi, wskażę mu dokładnie miejscowość i włościan-świadków tej sceny, którzy potwierdzą opis powyższy, ale po białorusku.

Drogomir.

Z pod Humania odbieramy list, zbijający doniesienie poprzednie o zachowaniu się proboszcza humańskiego względem zmarłego Martina.

„Mieszkając w okolicy parafii humańskiej i sąsiadując z Werchniaczką o parę wiorst, znam opisany wypadek szczegółowo i z całą przyjemnością wyświetlam zarzuty, czynione ks. Zakusile. Po śmierci i wywiezieniu zwłok śp. E. Martina do Kijowa, rzeczywiście wysłany był oficyalista p. Chruszczewski ze zleceniem proszenia proboszcza o przyjazd do Werchniaczki i odprawienie nabożeństwa. Osobiście p. Ch. proboszcza nie widział, a prośbę zakomunikował kapelanowi miejscowego gimnazyum przesieckiemu, którego spotkał odchodzącego od ołtarza w zakrystyi po mszy i od niego odebrał następującą odpowiedź: nie jestem waszym proboszczem, nie mogę i nie mam czasu, będąc kapelanem gimnazyalnym, odjeżdżać z Humania. Przytem — dodał — jeżeli odprawiał nabożeństwo pastor (sądził, że go sprowadzono) w kaplicy katolickiej, to ksiądz katolicki nie ma prawa odprawiania nabożeństwa bez ponownego poświęcenia jej. P. Ch. zaś po powrocie do domu powyższą odpowiedź, zapewne nieściśle, powtórzył swej władzy, nie objaśniwszy, że ją odebrał od ks. Przesieckiego a nie Zakusiły. O całej rozmowie ks. Z. nic nie wiedział; dopiero w kilka dni, będąc u mnie, usłyszał od zarządzającego folwarkiem werchniackim p. Feldt — o żalu, jaki mają do niego panowie oficyaliści. Po wytłomaczeniu zajścia i zaproszeniu przez p. Feldt, ks. Z. następnego dnia pojechał do werchniackiej kaplicy i odprawił żądane nabożeństwo, z czego wynika, że winnym nie był. Znając go od lat 20, śmiało mogę rzec, że napad korespondenta P. H. jest wymysłem. Jak był wynagradzany ks. Z. przez zarząd majątku werchniackiego — nie wiem, ale upewniam, że wogóle z posługami religijnemi płatnemi bez żądania nikomu się nie narzuca, jak również, że od lat 10 lub więcej w żadne gry pieniężne nie gra a za tem o wygranej mowy być nie może. Przez podanie wiadomości niebyłej, niesprawdziwszy faktu i — jak się sam korespondent wyraża — powtarzając to, co drudzy mówią — ubliżył szanowanemu i poważanemu w całej okolicy proboszczowi bez najmniejszej podstawy.

W. Dobrowolski.

Z Lubelskiego. Przeczytawszy „Na widnokręgu" w nr. 38 *Prawdy*, doszłam do przekonania, że i ja jestem „papugą chowu ziemskiego," „mrówką ważącą się podejmować robót pachciarskich," z tą tylko różnicą, że nie jestem czarowną Manią, ale zwyczajną Zosią — a do tego zajmującą się temi robotami od dwóch lat. Ale na seryo — takie ósme cuda świata nie są znów tak wielką rzadkością, tylko p. Zygmunt Atanazy o nich nie wiedział. Chcąc mu więc zrobić przyjemność, pozwalam sobie za pośrednictwem *Prawdy* donieść, że jest więcej „pomiędzy szlachtą silnych ramion, które potrafią podeprzeć bardziej złożoną machinę gospodarczą" i więcej „papug chowu ziemskiego," pracujących według możności.

Mieszkam w lubelskiem, zajmuję się z materyalnem powodzeniem pachtem, który objęłam po pachciarzu, będącym u mojego ojca przez lat kilkanaście; również w lubelskiem są dwie „papugi," zajmujące się gorliwie gospodarstwem nabiałowem i domowem; również w lubelskiem jest „papuga," która zaprowadziła pasiekę u siebie i zarządza dwiema pasiekami w sąsiedztwie, a zakres swej pracy w tym kierunku ciągle rozszerza; w radomskiem jest także już nie „czarowna Mania," ale czynna Jadwinka, która prowadzi chmielnik, pasiekę, a teraz po wyuczeniu się z drugą „papugą" robienia serów, zajmuje się i nabiałem.

Przytoczone przezemnie fakty, których możnaby wyliczyć więcej, dowodzą, jak mało jest znane nasze życie społeczne panom literatom, kiedy podobne zdarzenia mianują „ósmymi cudami świata" — i że należy dobrze zbadać daną rzecz, aby mieć prawo robienia uwag niby dowcipno-satyrycznych, który to sposób w tym razie jest zupełnie niewłaściwy. Jakkolwiek są to fakty drobne, nieprzekraczające granic prostego obowiązku, w naszem jednak uśpionem pod wieloma względami społeczeństwie i w naszej ekonomii zajmują nieostatnie miejsce i zasługują na poważne traktowanie."

Nieznajoma.

Przyjemność usłyszenia tych nowin o pracy niewieściej wynagradza nam piórkowe ukłócia, jakiemi autorka karze „panów literatów," którzy nie mają argusowych oczu i nie wszystko zdala widzieć mogą. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stypendya. W uniwersytecie warszawskim wakują dwa stypendya z zapisu Włodzimierza Młockiego po rs. 100 każde, dla niezamożnych studentów wydziału historyczno-filologicznego i prawnego. Pierwszeństwo mają krewni zapisodawcy, tudzież Leopolda i Eleonory Łąckich.

Pomnik Zygmunta został już odnowiony. Nastąpiło urzędowe przyjęcie kolumny na rzecz miasta od firmy wiedeńskiej.

Prawo rzymskie ma stanowić przedmiot zasadniczy na wydziałach prawnych. W tym celu ministeryum oświecenia wysłało do Niemiec dziesięciu młodych ludzi, którzy świeżo ukończyli uniwersytety, dla specyalnego wykształcenia się w danym przedmiocie.

Egzaminy państwowe. Opracowano projekt, według którego postanowiono wydać ogólny przepis, że samo przejście całkowitego kursu wyższego zakładu, a nawet otrzymanie stopnia naukowego nie będzie dawało prawa zajmowania posad etatowych rządowych bez zdania egzaminu państwowego. W tym celu przy wszystkich ministeryach i głównych zarządach wyższych zakładów naukowych będą ustanowione komisye, w których skład wejdą: członkowie ministeryum, dwaj profesorowie tudzież delegowani urzędnicy z ministeryum oświaty. Komisye będą odbywały posiedzenia dwa razy do roku: na wiosnę i w jesieni. Uchylający się od egzaminów, nie będą dopuszczani do posad etatowych. Wyjątek uczyniono dla posiadających stopień doktora lub magistra danej specyalności, lecz jedynie przy zajmowaniu posad profesorów i docentów. Nadto ma być obowiązkowe zdawanie egzaminów państwowych dla osób chociaż nie zajmujących posad rządowych, lecz kierujących instytucyami, znajdującemi się pod nadzorem i kontrolą rządu. Wyjątek uczyniono dla tych, którzy byli poprzednio nauczycielami etatowymi w szkołach rządowych. Od obowiązkowego zdawania powyższego egzaminu zwolnieni: lekarze utrzymujący prywatne lecznice, zajmujący posady w publicznych instytucyach miejskich i naukowych o tyle, o ile zdali egzamin w ustanowionych przez ministeryum oświaty komisyach egzaminacyjnych.

Goniec urzędowy ogłosił okólnik ministra wojny, zalecający ściśle przestrzeganie przepisów co do wydawania oficerom nie mającym 28 lat i zapewnionego bytu materyalnego, pozwolenia na zawieranie związków małżeńskich.

Ministeryum komunikacyi podniosło sprawę ustanowienia dla kolei Nadwiślańskiej posady dyrektora

ze strony ministeryum skarbu z prawami i obowiązkami dyrektora ze strony ministeryum komunikacyi. Zebranie ogólne akcyonaryuszów zgodziło się jednomyślnie na powyższe przedstawienie i wyznaczyło 5,000 rs. jako pensyę.

B. słuchacze uniwersytetu, którzy dla rozmaitych powodów wyszli z uniwersytetu przed ukończeniem kursów i następnie podali prośby o zaliczenie ich znowu na pierwszy kurs, mają być uważani, według postanowienia ministra oświaty, za nowowstępujących.

Na utrzymanie dyrekcyj naukowych w okręgu warszawskim, tudzież inspekcyj szkół w Warszawie, ministeryum oświaty przeznaczyło na rok przyszły 562,054 rs.

Wystawę rolniczo-przemysłową w Krakowie zamknięto 12 b. m.

Żydzi. Z powodu zapytania kuratora okręgu naukowego kijowskiego, jak należy rozumieć wyrażenie: „osoby pochodzenia żydowskiego," użyte w okólniku ministra oświaty, nastąpiła odpowiedź ministra, polecająca przyjąć do uniwersytetu kandydatów pochodzenia żydowskiego, którzy przyjęli prawosławie.

Bibliografia. Nakładem lwowskiej „Macierzy" wyszło opowiadanie historyczne Wiktora Czernaka p. t. *Jadwiga królowa polska*.

W Pradze czterej profesorowie wyższej szkoły przemysłowej otrzymali dymisyę z powodu, iż się nie nauczyli języka czeskiego w oznaczonym terminie.

Volapük. W Amsterdamie utworzyło się towarzystwo, które wprowadza język powszechny na scenę.

Przeciwko bankructwu. W b. m. rada państwa ma do rozpatrzenia projekt zmian w prawie o bankructwach. Karane będą dwa rodzaje: bankructwo podstępne i spowodowane nieoględnością. Wymiar kary zależeć będzie od tego, jak ukryto majątek — przed, podczas lub po ogłoszeniu upadłości. Osoby nie należące do stanu handlowego, jeśli ukryły majątek przed ogłoszeniem upadłości, nie są odpowiedzialne. Kara za podstępne bankructwo będzie surowa. Zamiast zesłania na osiedlenie — 8-letnie ciężkie roboty.

Kara. W gimnazyum płockiem 12 uczniów za należenie do stowarzyszenia zawiązanej tam czytelni wydalono ze szkoły. Z tej liczby trzech pozbawiono prawa wstąpienia kiedykolwiek do zakładu naukowego rządowego, pozostałym zaś wolno przenieść się do innych szkół.

Grac (list *Prawdy*). Tutejsze polskie stowarzyszenie akademickie „Ognisko" rozwija się pomimo licznych trudności coraz pomyślniej. W ostatniem półroczu (trzeciem swego istnienia) liczyło 22 zwyczajnych członków, 3 nadzwyczajnych i 3 wspierających. Biblioteka powiększyła się ze 100 na 300 tomów. Dla rozbudzenia życia umysłowego urządzano co miesiąc wieczorki muzykalno-literackie z wykładami. I tak Wł. Natanson z Warszawy miał wykład „O kinetycznej teoryi gazów," M. Gumplowicz „O Mickiewiczu," Wiśniowiecki „O napojach wyskokowych," Szołajski „O systemie i chorobach nerwów," Reichard „O konstytucyi 3 maja," Graff z Krakowa „O Kraszewskim." Największa część polaków uczęszcza na medycynę, chemię i akademię handlową. Bo też, jak wiadomo, wydział lekarski i technika tutejsze pod względem sił naukowych i zewnętrznego wyposażenia stoją po Wiedniu najwyżej w Austryi. Na wydziale medycznym cieszą się wielką sławą: profesor anatomii Zucker, prof. psychiatryi Kraft-Ebing, prof. chirurgii Wölfler, długoletni asystent i pomocnik Billrotha, prof. patologii Klemensiewicz, prof. okulistyki Schnabel etc. Podczas gdy w Wiedniu z powodu wielkiego przepełnienia i drożyzny studya są ciężkie, tu uczący się mają najlepszą sposobność do gruntownego wykształcenia się fachowego. Wogóle Grac przedstawia w równym stopniu jak Wiedeń wszystkie korzyści wielkiego miasta przy daleko większej taniości.

Drugiem polskiem towarzystwem w Styryi jest istniejąca już od lat 10 „Czytelnia polska" przy wyższej akademii górniczej w Leoben, posiadająca wielką bibliotekę polską, wspaniałomyślny dar hr. Sołtana.

Szkoły. Z końcem b. r. szkolnego we wszystkich gimnazyach i progimnazyach męzkich zamknięte będą klasy wstępne. Wskutek tego wyszło rozporządzenie ministeryalne, ażeby w razie otworzenia się w ciągu roku wakansu nauczycielskiego w klasach wstępnych, już go nie obsadzać, lecz nauczycieli tych klas, spadłych z etatu, w miarę możności przenosić na posady pomocników gospodarzy klasowych. Jednocześnie postanowiono, aby przy zapowiedzianej reformie szkół realnych spadli z etatu nauczyciele klas wstępnych mieli pierwszeństwo przed innymi do otrzymania posad.

Uniwersytety ruskie otrzymały nowe przepisy, dotyczące urządzenia komisyj egzaminacyjnych i sposobu egzaminowania na wydziałach historyczno-filologicznym, fizyczno-matematycznym, prawnym i na stopień lekarza. Egzaminy piśmienne będą poprzedzać ustne. Na wydziale filologicznym student ma napisać życiorys swój po łacinie. Więcej niż dwa razy nie wolno stawać przed komisyą egzaminacyjną, która w razie powtórnego niepowodzenia zaznacza w świadectwie studenta, że jest pozbawiony prawa składania egzaminu.

W Londynie powstała propaganda, popierająca wynalazek p. Ostrzeniewskiego — zużytkowania przypływu i odpływu morza.

Swiet donosi, że do ministeryum skarbu wniesiono projekty nowych podatków od wyrobów z drogich metalów, kosmetyków, niektórych wyrobów rękodzielniczych, a między nimi od kwiatów sztucznych.

W Lozannie w budującej się Walhalli, postanowiono umieścić biust Mickiewicza na pamiątkę jego wykładów.

Badanie mięsa Otwarto w Warszawie pracownię badania mięsa pod kierunkiem weterynarza Domosławskiego.

Ubezpieczenia robotników. Wnioski warszawskiego i moskiewskiego komitetów przemysłowych, wywołane przez projekt zabezpieczenia materyalnego robotników rażąco się różnią. Komitet warszawski radzi obowiązkowe ubezpieczenia życia robotników, moskiewski zaś nietylko nie widzi potrzeby wmieszania się prawodawstwa, lecz nadto domaga się zabezpieczenia samych przedsiębiorców od nadużyć ze strony robotników.

Zmarli. Stefan Ludwik Kuczyński w Krakowie, profesor wszechnicy jagiellońskiej, członek czynny Akademii umiejętności. Ur. 1817 r. w Krakowie. Piswał po niemiecku i po polsku w zakresie nauk przyrodniczych.

— Bibianna Moraczewska, powieściopisarka. Do nowelek i powieści brała tematy z historyi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studentowi - technikowi. Wyjdzie — terminu ściśle określić nie możemy.

P. J. Lorent w Płocku. Skorzystanie z przekładu Pańskiego jest obecnie niemożliwem.

P. Leonowi L. Nie—przekład bardzo niepoprawny.

Delcie. 1) W dzisiejszym numerze ukończony artykuł objaśni Pana dostatecznie. 2) Wozy z solą, dawniej wożoną. 3) Tak. 4) Andegaweński znaczy Anjou. Ojciec Jadwigi był z tym domem spokrewniony.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W artykule „Ze wschodu" w wierszu 1-ym powinno być *łucki* zam. łódzki.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Октября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.